jeszcze jedna przeprowadzka

STR. 4

TRAGICZNY ZAPIS

STR. 5-8

WĘDROWNICZEK

STR. 10

Komu potrzebny PSYCHOLOG

STR. 10

NIE JESTEM CASSIUS CLAY!

STR. 7

MAGAZYN

STR. 12

ODGŁOSY

ROK XIX NR 8 (950) 19 LUTEGO 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Pytanie jak żyć? — od dawna nurtuje ludzi. Dla jednych żyć lepiej — to dysponować większą ilością dóbr materialnych. Dla innych — móc zaspokajać swoje zainteresowania, ambicje, marzenia — a wszystkim radzimy przeczytać w bieżącym numerze „Odgłosów" ciekawy artykuł na ten temat Luciusza Włodkowskiego pt. „Życie ze znakiem „Q".

Po raz pierwszy w Polsce Ludowej ukazała się pełna, jednotomowa synteza historii Polski, obejmująca całokształt naszych dziejów, poczynając od czasów najwcześniejszych, kończąc na współczesności. Autorzy doprowadzili narrację aż do VII Zjazdu PZPR. Dzieło to powstało wysiłkiem grona historyków z poznańskiego ośrodka naukowego, a pisze o tym w bież. numerze naszego tygodnika Lektor. Warto także zapoznać się z opowiadaniami Jana Huszczy pt. „Jeszcze jedna przeprowadzka", oraz Ryszarda Binkowskiego — „Wędrowniczek".

Muhammad Ali bokserski mistrz świata znany jest nie tylko bokserom czy kibicom tego sportu ze swoich sukcesów na ringu; dużo mniej jednak znany on jest jako odważny krytyk amerykańskiej agresji w Wietnamie, przeciwnik wszelkiej dyskryminacji rasowej i obrońca praw Murzynów. Opowiada on o tym w wydanej niedawno interesującej książce autobiograficznej, której fragmenty drukujemy w bieżącym numerze „Odgłosów" pt. „Nie jestem Cassius Clay!"

W bieżącym numerze zamieszczamy również stałe nasze pozycje: felietony, informacje książkowe, program telewizyjny, recenzje oraz „Magazyn", w którym przede wszystkim polecamy artykuł Andrzeja Jóźwiaka o rozrywce, rytmie i melodii.

LUDZIE i GOSPODARKA

KRZYSZTOF POGORZELEC

KIM JESTEŚ DYREKTORZE?

Jest ich w Polsce nieco więcej niż 100 tysięcy. Powiedzieć, że są przedmiotem powszechnego zainteresowania, choć telewizja swoim serialem zrobiła co tylko mogła, byłoby co najmniej przesadą. Niemniej — kto z nas nie ma swojego dyrektora?

PRÓBA DEFINICJI

Nie jest moim zamiarem przedstawienie Czytelnikom jeszcze jednego „portretu" pewnej grupy naszego społeczeństwa, choć nie ukrywam, że pewne miejsce i rolę zajmuje tutaj swoiste „kto jest kto", ale i to nie tylko tak, dla zaspokojenia ciekawości. W Słowniku Wyrazów Obcych przy haśle dyrektor znajduje się bowiem takie wyjaśnienie: **„osoba stojąca na czele i kierująca pracą danej instytucji, przedsiębiorstwa, zakładu".** W tym samym SWO, obok słowa dyrekcja figuruje następująca informacja: **„kierownictwo, zarząd instytucji, przedsiębiorstwa, zakładu, na którego czele stoi dyrektor."** Idąc więc śladem tego wywodu, można śmiało powiedzieć, że ludzie zajmują-

Dalszy ciąg na str. 5

SPOŁECZEŃSTWO

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ŻYCIE ZE ZNAKIEM „Q"

Pytanie: jak żyć? — od dawna nurtuje ludzi. Żyć tak jak inni, trwać z dnia na dzień, czy szukać innych, lepszych sposobów życia? A jeśli szukać, to co jest tym lepszym? Czy tylko to, co jest inne?

Dla jednych żyć lepiej — to dysponować większą ilością dóbr materialnych. Dla innych — móc zaspokajać swoje zainteresowania, ambicje, marzenia. Był czas, kiedy te pojęcia były sobie przeciwstawne. Był to czas heroizmu rewolucyjnego, kiedy wszelkie dążenia i aspiracje jednostek musiały być podporządkowane racji nadrzędnej, racji historycznej — rewolucji. I był czas późniejszy, konsekwencja tego pierwszego, kiedy racje jednostki musiały być podporządkowane racjom ogółu, wynikającym z konieczności budowania nowego społeczeństwa, wyposażenia go w niezbędne inwestycje, tworzenia warunków, w których mo-

Dalszy ciąg na str. 3

PROBLEMY

BOGDA MADEJ

NIE CHCĄ SŁYSZEĆ o POGODNEJ JESIENI

— Zamieszkam w domu przy ulicy Tatrzańskiej. To jest bardzo dobry dom. Przed wejściem stoją wyrzeźbione dwa gołębie. Będzie tam spokój i cisza — zwierzała się koleżankom w pracy Maria Z.

— Wiem, wiem — powiedziała jedna z nich — w tym, co o nim pisali w gazecie. Będziesz mieszkała w domu... dla starców. To się wprawdzie tak jakoś ładnie nazywa, ale to wszystko jedno.

— To nazywa się: Dom Pogodnej Jesieni — podpowiedziała inna.

— Nieprawda! — oburzyła się Maria Z. — To nie jest dom starców, to jest normalny dom, a różni się tym od innych, że mieszkają tam ludzie starsi, samotni, że nie ma tam dzieci, jest za to spokój.

Nie wiem, jak dalej potoczyła się rozmowa, ale wiem, że kiedy odwiedziłam ów dom przy ulicy Tatrzańskiej, zorganizowany dla ludzi samotnych przez RSM „Bawełna" to wszyscy, z którymi rozmawiałam gorąco protestowali przeciw nazwie: „Dom Pogodnej Jesieni". Oni po prostu nie chcą nawet myśleć o żadnej „jesieni". Oni chcą żyć tym wszystkim, czym żyje całe społeczeństwo,

Dalszy ciąg na str. 8

INFORMACJE

W WOJEWÓDZTWIE SIERADZKIM

W województwie sieradzkim ożywioną działalnością wykazują się Towarzystwo Przyjaciół Sieradza, Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli i Towarzystwo Przyjaciół Złoczewa. Członkowie tych towarzystw przyczyniają się do rozwoju gospodarczego i kulturalnego miast, upowszechniają o nich wiedzę, gromadzą relikty związane z ich dziejami.

W roku 1975 dużą aktywność przejawiało Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli, miasta, które obchodziło jubileusz 150-lecia nadania mu praw miejskich. Z tej okazji Towarzystwo m. in. ogłosiło konkurs literacki „Zduńska Wola — miasto mojej młodości".

Miłośnicy sztuki plastycznej i muzycznej związani są z Towarzystwem Krzewienia Kultury Plastycznej im. Xawerego Dunikowskiego w Sieradzu, z Oddziałem Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych w Warcie prowadzącym chór „Lutnia" oraz ze Stowarzyszeniami Przyjaciół Ognisk Artystycznych w Sieradzu, Zduńskiej Woli, Wieluniu, Łasku i Poddębicach. Niedawno powstał Oddział Wojewódzki Towarzystwa Kultury Teatralnej w Sieradzu, który skupia wielu miłośników sztuki teatralnej, członków zespołów scenicznych, instruktorów teatralnych itp.

AKF „Emdek" przy Wojewódzkim Domu Kultury w Sieradzu w maju 1976 r. będzie organizatorem VI Międzywojewódzkiego Przeglądu Amatorskiej Twórczości Filmowej. Kilku członków AKF „Emdek" zrealizowało filmy i kroniki filmowe dotyczące życia województwa. Z ich inicjatywy powstało niedawno Objazdowe Kino Filmów Amatorskich, propagujące twórczość filmową amatorów w klubach wiejskich, świetlicach zakładowych, szkołach.

W województwie sieradzkim rozwijają działalność liczne zespoły folklorystyczne: pieśni i tańca oraz kapele. Do najbardziej znanych należą zespoły Pieśni i Tańca z Dobronia, Konopnicy, Skomlina, Sieradza i Ustkowa.

W działalności stowarzyszeń i klubów województwa sieradzkiego widoczna jest aktywność społeczna młodej inteligencji. We wszystkich stowarzyszeniach występuje dążenie do pozyskiwania dla działalności regionalnej robotników, rolników i młodzieży. Wzorem w tym względzie mogą być środowiska o bogatym doświadczeniu społecznego działania w Sieradzu, Wieluniu czy Zduńskiej Woli, w których do tradycji należy zamiłowanie do pracy kulturalnej przy harmonijnym współdziałania pokoleń.

FELIKS RAJCZAK

KONKURS O „RUBINOWĄ HORTENSJĘ"

Rada Wojewódzka Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej w Piotrkowie Tryb., Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Wojewódzka Rada Związków Zawodowych, Związek Literatów Polskich, Wydział Kultury Urzędu Miejskiego w Piotrkowie Tryb., HSG „Hortensja" wraz z Zarządem Zakładowym ZMS oraz redakcja „Gazety Ziemi Piotrkowskiej" ogłaszają XII Ogólnopolski Konkurs Literacki o „Rubinową Hortensję" w działach: poezji, prozy i reportażu.

Nadsyłane utwory powinny być poświęcone problematyce konfliktów moralnych i społeczno-obyczajowych, kształtowaniu wzorców osobowych młodego pokolenia, propagowaniu przykładów aktywnej i twórczej działalności społeczno-zawodowej, ideowości i patriotyzmowi, tematyce budownictwa socjalistycznego a także ukazywać środowiska zakładów pracy. W dziale reportażu szczególnie będą preferowane prace związane z województwem piotrkowskim.

Na konkurs należy nadsyłać nie opublikowane dotąd prace pod adresem Rady Wojewódzkiej FSZMP 97—300 Piotrków Tryb. al. Bieruta 14 z dopiskiem na kopercie: „Rubinowa Hortensja" w nieprzekraczalnym terminie do dnia 30 kwietnia 76 r. Do prac oznaczonych godłem należy dołączyć zamknięta kopertę zawierającą wewnątrz imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres.

Każdy uczestnik konkursu w dziale poezji powinien nadesłać po trzy utwory, koniecznie w sześciu egzemplarzach maszynopisu, zaś w dziale prozy i reportażu — koniecznie w trzech egzemplarzach. Osoby, które nie publikowały dotąd w ogóle swoich utworów i nie brały udziału w żadnym konkursie literackim, powinny dopisać na każdym egzemplarzu tekstu oraz na kopercie: „Debiut".

W każdym z działów przewidziano po trzy równorzędne nagrody: I nagroda — puchar „Rubinowa Hortensja" oraz 5.000 zł, II nagroda — 3.000 zł, III nagroda — 2.000 zł oraz po dwa wyróżnienia po 1.000 zł.

Przewidziane są także wyróżnienia za najlepsze debiuty.

ROCZNICE

NA STRAŻY POKOJU

23 lutego 1918 r. Komitet Wykonawczy Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich ogłosił „Dniem obrony socjalistycznej ojczyzny". Tysiące robotników w odpowiedzi na ten apel wstąpiło wówczas do Armii Czerwonej i wymaszerowało na front. Zbiegło się to z pierwszym zwycięstwem nowo sformowanych oddziałów rewolucyjnych, które w zaciętej bitwie pod Pskowem i Narwą pokonały nacierające wojska niemieckie. Dla upamiętnienia tych wydarzeń — 23 lutego obchodzony jest, jako dzień narodzin Armii Radzieckiej.

Zrodziła się ona w ogniu Wielkiej Rewolucji Październikowej, jako pierwsza w dziejach armia socjalistyczna, zbrojne ramię, stworzonego przez partię bolszewików państwa dyktatury proletariatu. Powstała, by bronić prawa robotników i chłopów Rosji do wyzwolenia społecznego i narodowego, by służyć wielkiej sprawie socjalizmu i postępu. Dlatego właśnie już wówczas, gdy się formowała i hartowała w ogniu wojny domowej, spieszyli w jej szeregi najlepsi synowie proletariatu różnych narodowości, wśród nich także dziesiątki tysięcy Polaków.

Działalność polskich współorganizatorów i dowódców Armii Radzieckiej, szlak bojowy polskich czerwonoarmistów z Czerwonego Pułku Rewolucyjnej Warszawy i całej Zachodniej Dywizji Strzeleckiej — zaliczamy dzisiaj do najpiękniejszych naszych narodowych tradycji walki „O wolność Waszą i naszą". Historia już wówczas wykazała, że ci, którzy walczyli w szeregach Armii Czerwonej o wolność narodów Rosji, dobrze się przysłużyli także najlepiej pojętym interesom własnego narodu.

Narodziny i rozwój Radzieckich Sił Zbrojnych, ich szlak bojowy nierozerwalnie łączą się z działalnością partii komunistycznej i Włodzimierza Lenina. Przywódca państwa radzieckiego uważał, że armia robotniczo-chłopska winna odznaczać się oddaniem sprawie rewolucji i wysoką świadomością polityczną, a także dobrym wyposażeniem technicznym, świadomą dyscypliną, wiedzą wojskową i sprawnością fizyczną żołnierzy.

Najsurowszym sprawdzianem siły bojowej Armii Radzieckiej była II wojna światowa. Dotychczas historia nie notowała wojny równie straszliwej i niszczycielskiej. W toku tej wojny Armia Radziecka nie tylko powstrzymała pochód faszyzmu hitlerowskiego, lecz także skruszyła jego potęgę i rozbiła ostatecznie. Na froncie radziecko-niemieckim przez 1418 dni ważyły się losy świata.

Front radziecko-niemiecki różnił się od innych frontów drugiej wojny światowej nie tylko rozmachem, lecz także zaciętością walki zbrojnej. Właśnie na tym froncie Armia Radziecka zniszczyła i zadała duże straty 507 dywizjom hitlerowskim i 100 dywizjom państw satelickich. W tym samym czasie wojska amerykańsko-brytyjskie zniszczyły i wzięły do niewoli 176 dywizji niemieckich.

Zniszczenie głównych sił hitlerowskich na froncie wschodnim spowodowało krach niemieckiej machiny wojennej i państwowej. Błyskawiczne rozgromienie Armii Kwantuńskiej przez wojska radzieckie zmusiło rząd japoński do kapitulacji.

Historyczne zwycięstwo Związku Radzieckiego odniesione nad hitlerowskimi Niemcami było przede wszystkim świadectwem trwałości, żywotności i siły ustroju socjalistycznego, wyższości radzieckiej sztuki wojennej nad sztuką wojenną armii hitlerowskiej. Przewaga radzieckiej sztuki wojennej polegała na jej twórczym charakterze. W ciągu całej wojny sztukę tę rozwijano i doskonalono.

W 58 rocznicę powstania Radzieckich Sił Zbrojnych myśli nasze kierują się ku żołnierzom Armii Radzieckiej, którzy realizując swą historyczną misję wyzwoleńczą przynieśli wolność narodowi polskiemu. Nigdy nie zapomnimy, że to właśnie Armia Radziecka odegrała decydującą rolę w rozgromieniu ludobójczego faszyzmu, ratując nasz naród przed groźbą wręcz biologicznego wyniszczenia. Pamiętać będziemy o tym, że u boku Armii Radzieckiej żołnierze Ludowego Wojska Polskiego działając w imieniu polskiej lewicy społecznej zatknęli na gruzach Berlina — obok sztandarów radzieckich, jako jedyny aliancki, biało-czerwony sztandar polski. Jest to pamięć wieczna, leżąca u podstaw wspólnoty ideowej, przyjaźni i współpracy między Polską Ludową i Związkiem Radzieckim.

Wyciągając wnioski z przeszłości, z myślą o teraźniejszości i przyszłości, będziemy ciągle umacniać sojusz i braterstwo broni Ludowego Wojska Polskiego z Armią Radziecką — główną siłą całej socjalistycznej wspólnoty obronnej państw Układu Warszawskiego, stojącej na straży pokoju i socjalizmu.

JAN POWAŁA

PROSZĘ o GŁOS!

CZY MÓJ SZWAGIER JEST WANDALEM?

Opowiem tu historię, która zdarzyła się naprawdę i niedawno. I właśnie nie wiem, czy ta historia powinna się była zdarzyć, czy też nie powinna? Otóż mój szwagier zamienił mniejsze mieszkanie na większe. W ramach tej samej spółdzielni „Bawełna". I nie byłoby w tym jakcie (zamiany) niczego godnego uwagi, gdyby nie to, że dał on początek następującej historii.

Do starego mieszkania przyszła komisja wycenić stopień zużycia rozmaitych urządzeń. Komisja zajrzała do łazienki, do kuchni i w ogóle tam, gdzie trzeba, po czym szwagier otrzymał protokół z działalności komisji. Z protokółu wynikało, że: kuchenkę czteropalnikową po czterech latach użytkowania szwagier zużył całkowicie, bo na sto procent, czyli że ta kuchenka to na złom, i na szmelc, do niczego innego się nie nadaje. Zlewozmywak też na złom, bo też zużył się na sto procent. Urządzenia klozetowe spotkał los jak wyżej. Dla innych komisja okazała się łaskawsza, baterie już nie były na szmelc, ani wanna, tylko policzono im po osiemnaście, po dwadzieścia procent zużycia. Widać, ani wanny, ani baterii mój szwagier nie rozwalał młotkiem, tylko zużywał je z elegancją i kulturą. Trochę nawet odetchnął moralnie przy ocenie wanny i baterii, bo przy ocenie zlewozmywaka i kuchenki palnikowej poczuł się jak wandal.

Niezależnie od stanu ducha szwagier po otrzymaniu protokołu poszedł zapłacić za to, co zużywał jak wandal, i za to, co zużył z elegancją. Okazało się, że za to, co zużył jak wandal, stuprocentowo, musi zapłacić też stuprocentowo — to zresztą logiczne — ale musi zapłacić stuprocentowo nie według ceny obowiązującej cztery lata temu, lecz stuprocentowo według cennika obowiązującego aktualnie. Szwagier nieco się zdziwił, przyznam się, że też bym się zdziwiła. Zdziwienie jest podobno cechą ludzi myślących. Natomiast w spółdzielni nikt się nie zdziwił, przez co wcale nie sugeruję, że u spółdzielni nie myślą. Myślą, nawet niesłychanie intensywnie i operatywnie — różnica w cenie takiej na przykład kuchenki wynosi około sześciuset złotych na niekorzyść szwagra, a na korzyść spółdzielni. Najpierw kupić taniej, potem odkupić drożej, to chyba przykład myślenia operatywnego. Tym operatywniejszego, że te inne urządzenia, które nie zużyły się stuprocentowo i nie były na złom, ale jeszcze do godziwego korzystania przez następnych lokatorów, wyceniono według cennika sprzed czterech lat. Ale szwagier nie targował się, bo przecież spółdzielnia to nie jest prywatny stragan z pietruszką. Zapłacił.

Wrócił do starego mieszkania i wymontował kuchenkę oraz zlewozmywak, sądząc w naiwności ducha, że to jego własność, bo za nią zapłacił, w dodatku po nowej cenie. Ale nie. Nie jego własność. Tak mu powiedzieli w spółdzielni, powołując się najpierw na zarządzenie ministra, a potem, gdy szwagier zapragnął poznać to zarządzenie, na zarządzenie wewnętrzne dyrektora spółdzielni. Powiedzieli, że nie jego, chociaż za to zapłacił drożej, niż mu spółdzielnia kupiła, nie jego, chociaż to od spółdzielni odkupił przyczyniając się niewątpliwie do superaty na koncie tejże spółdzielni — ale spółdzielni, chociaż od spółdzielni odkupił. No i że kluczy od mieszkania nie przyjmą, dopóki tych starych, stuprocentowo zużytych urządzeń nie zamontuje z powrotem do używania. Tak przedstawia się ta historia, która zdarzyła się niedawno i naprawdę. I która mnie ogromnie zadziwiła. Zadziwiła do tego stopnia, że pragnę publicznie podzielić się swoim zadziwieniem jak również zainteresować tym kompetentne organa kontroli, które — być może — też się zadziwią, jeżeli tylko zechcą przyjrzeć się z bliska takim historiom autentycznym — jak ta, powyższa.

EWA OSTROWSKA
(gospodyni domowa)

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE

Czwartek, 19. II. — program I:
18.25 „CHILIJSKA TRAGEDIA" program publicystyki międzynarodowej.
20.30 Teatr Sensacji zaprasza na inscenizację kryminału psychologicznego pt. „HOTEL POD POLEGŁYM ALPINISTA". W roli inspektora — Ryszard Pietruski (powt. 20. II. 17.50 — II pr.)
21.40 Rozrywka, jej znaczenie w życiu współczesnego człowieka oraz jej poziom artystyczny — to główny nurt rozważań publicystycznych PEGAZA.

Program II:
18.05 „SŁAWNO" — program filmowy o wpływie wielkiej inwestycji na rozwój 12-tysięcznego miasta i przeobrażenia w życiu miejscowej społeczności.

Piątek, 20. II. — program I:
20.25 „TERRARIUM" — sztuka psychologiczna. Wykonawcy: Nina Andrycz i Marek Bargielowski.
21.05 DROGOWSKAZY.

Program II:
20.25 „ŚLADAMI JÓZEFA WIECZORKA".
21.05 „ZEPCHNIĘCI W CIEMNOŚĆ" — film fab. TV węgierskiej.

Sobota, 21. II. — program I:
16.30 Program filmowy TV ZSRR o Azerbejdżanie, Gruzji i Armenii (kolor).
17.00 Halowe Mistrzostwa Europy w lekkiej atletyce.
20.20 „SASKATCHEWAN" film prod. USA.
22.15 Program estradowy „KTO TAK PIĘKNIE GRA", zrealizowany w Teatrze Wielkim w Łodzi. Wystąpią: Ewa Bem, Lucia Prus, Danuta Rinn, zespół „Chałturnik" i grupa baletowa „Soleil".

Program II:
16.50 W cyklu „SPOTKANIA Z GÓRAMI" wystąpi dr Janusz Smiałek, uczestnik wielu frapujących wypraw speleologicznych.
18.00 GODZINA Wojciecha Fibaka.

Niedziela, 22. II. — program I:
10.40 Projekcja IV (ostatniego) odcinka serialowego filmu hiszpańsko-włoskiego „KRZYSZTOF KOLUMB".
18.30 „OPEROWE QUI PRO QUO" zapowiada spotkanie gwiazd opery i baletu, zrealizowane telewizyjnie w salach Ratusza i Pałacu Działyńskich w Poznaniu.
20.35 Widowisko muzyczne Antoniego Marianowicza — pastisz literatury i filmów kryminalnych, w całości — zabawna propozycja, o akcji, obfitującej w wiele zaskakujących niespodzianek. Autorami piosenek oraz nowej aranżacji głośnych przebojów przedwojennych są: Władysław Korcz i Czesław Majewski. Widowisko, potraktowane jako próba musicalu telewizyjnego, reżyseruje Zbigniew Czeski (kolor).
21.55 Telekino wyświetli III odc. angielskiego serialu „NANA" pt. „OFIARA".

Program II:
20.20 W „Przeglądzie twórczości telewizyjnej Adama Hanuszkiewicza" powtórzony zostanie „NORWID". Spektakl w kolorze.

Poniedziałek, 23. II. — program I:
20.25 W Teatrze TV na Świecie obejrzymy dramat Williama Szekspira „KRÓL LEAR".
22.30 „STRATEGIA POKOJU" — program o zasadach polityki zagranicznej Związku Radzieckiego.

Program II:
18.05 „DYREKTOR" — film dok. Telewizji Polskiej i APN.

Wtorek, 24. II. — program I:
20.30 Projekcja V odc. serialu TVP „TRZECIA GRANICA" pt. „NIEZNAJOMA Z BARU BOLERO" (kolor).
21.20 W cyklu dyskusyjnym publicystyki międzynarodowej „SWIAT I POLSKA", Mieczysław F. Rakowski poprowadzi program zatytułowany „CO DALEJ Z ODPRĘŻENIEM".

Program II:
21.25 „LOŻA" — propozycja dyskusyjna Witolda Fillera, temat: próba analizy i oceny zjawisk, występujących w polskim teatrze współczesnym (z udziałem m. in. Artura Sandauera).

Środa, 25. II. — program I:
18.00 „KORONNI ŚWIADKOWIE".
18.30 „EXPRESS MOSKWA — WŁADYWOSTOK" — film dok. Franciszka Burdzego.
20.25 Kino Interesujących Filmów wyświetli radziecki dramat psychologiczno-społeczny „SYBIRACZKA", w reżyserii Aleksieja Sałtykowa.

Program II:
20.25 Z Sali Kongresowej w Warszawie transmisja koncertu słynnego zespołu jazzowego z USA — big bandu Woody Hermana.

WITKACY – NADREALISTA

Nie widziałem „Matki" Stanisława Ignacego Witkiewicza w reżyserii Jerzego Jarockiego na scenie Teatru Starego w Krakowie. Zaprezentowana w poniedziałkowym teatrze telewizyjną wersja tego przedstawienia wydaje się zaledwie namiastką oryginału: „dostosowana — jak to zgrabnie ujął w słowie wstępnym Konstanty Puzyna — do poziomu wrażliwości telewizyjnego widza" potwierdza wszakże wysoką rangę artystyczną tego głośnego spektaklu i daje pewne wyobrażenie o jego niezwykłej poetyce teatralnej. Włączenie na mały ekran inscenizacji Jarockiego, w której przestrzeń i jej przekształcenia odgrywa bardzo istotną rolę było zabiegiem karkołomnym. Jednakże ważniejszą kwestią od artystycznych kompromisów nieuchronnie z tym procederem związanych jest pożytek kulturalny, czyli fakt popularyzacji Witkacego, który od dobrych kilkunastu lat panuje w teatrze nie tylko polskim, w telewizji zaś jest ciągle autorem nieobecnym.

Jerzy Jarocki, jeden z czołowych artystów polskiego teatru współczesnego jest związany z dramaturgią Witkacego od dawna. Wśród jego najciekawszych prac znajdują się „Szewcy" i właśnie „Matka", której prapremierę reżyserował i do której trzykrotnie powracał.

„Matka" została napisana w 1924 roku i pozostaje do dziś dramatem do końca interpretacyjnie nie rozpoznanym. Ta „sztuka niesmaczna w dwóch aktach z epilogiem" — jak ją określił autor — skupia w sobie podstawowe motywy twórczości Witkacego: katastrofizm wynikający z zagrożenia poprzez postępującą uniformizację społeczną, apologie uczuć metafizycznych związanych z przeżyciem Tajemnicy Istnienia i wreszcie idealną realizacja teorii Czystej Formy w zakończeniu. Jest to również sztuka sięgająca głęboko, jak żadna inna, do biografii Witkacego, do jego powikłanych stosunków z własną matką, która nie rozumiała filozoficznych i artystycznych koncepcji syna.

Oglądając „Matkę" w inscenizacji Jarockiego nie sposób uwolnić się od przekonania, że reżyser poszedł tropem takiej możliwości interpretacyjnej, która w stosunku do Witkacego jest tyleż oczywista, co zapoznana. Myśle tutaj o mimowiednym zbliżeniu się światopoglądu Witkacego do światopoglądu surrealistów Witkacego z surrealizmem znacznie więcej łączy niż dzieli, począwszy od przekonania o kryzysie dotychczasowej kultury europejskiej poprzez próbę odbudowania ludzkiej osobowości dzięki wyzwoleniu sił duchowych aż do teorii artystycznej ekspresjii. Trudno w tym miejscu rozwinąć tę frapującą analogie, która pozwoliła nadać „Matce" niezwykle sugestywny kształt wizualny wyraźnie zakorzeniony w nadrealistycznej wyobraźni. Nadrealna wizja narasta w „Matce" Jarockiego niezwykle konsekwentnie. Już scena otwierająca spektakl, w której widzimy jedynie proste elementy scenografii, a więc stół, szafe, krzesło i temu obrazowi towarzyszy monotonny głos niewidocznej matki przypomina swoim zagadkowym charakterem metafizyczne obrazy Giorgia Chirico czy Paula Delvaux. Postacie, jakie wkrótce pojawiają się w tym wnętrzu przenika dziwna neuroza — sposób bycia Leona jest nazbyt jaskrawy, wręcz histeryczny, natomiast zachowania matki są z kolei nienaturalnie ściszone, jakby zdławione. Ten hipnotyczny nastrój będzie się stopniowo pogłębiał. O konsekwencji Jarockiego w kreowaniu wizji scenicznej wychodzącej od iluzji realności a kończącej się halucynacyjnym transem świadczy staranne zatarcie granicy pomiędzy aktem II a epilogiem, który w intencjach Witkacego zawartych w tekście, a wypowiadanych przez Leona miał być „czysta forma pewnych wypadków, zastygłych w nieskończoności Istnienia". Jarocki zaciera cezurę, która oddziela akcje utrzymującą się jeszcze, choć z trudem w granicach realności od czysto formalnego zakończenia. Służy mu do tego celu epizod „dopisany" do Witkacego, w którym gigantyczne zwały włóczki zaścielają całe wnętrze. Ten intensywny teatralnie efekt stanowi doskonały pomost, po którym reżyser przeprowadza nas niepostrzeżenie do podświadomego świata narkotycznych wizji, sennych koszmarów i psychoanalitycznych symboli.

Witkacy Jarockiego ujrzany poprzez nadrealizm wydaje się doświadczeniem tym cenniejszym, że stanowi propozycje spójną i konsekwentna, a przede wszystkim — a jest to szczególny przypadek „Matki" — przylegającą do tekstu. Jest to wartość bardzo cenna w konfrontacji teatru polskiego z tą twórczością, której realizacje na naszych scenach bardzo rzadko wychodzą poza powierzchowną fascynację.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI.
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

SPOŁECZEŃSTWO

Dalszy ciąg ze str. 1

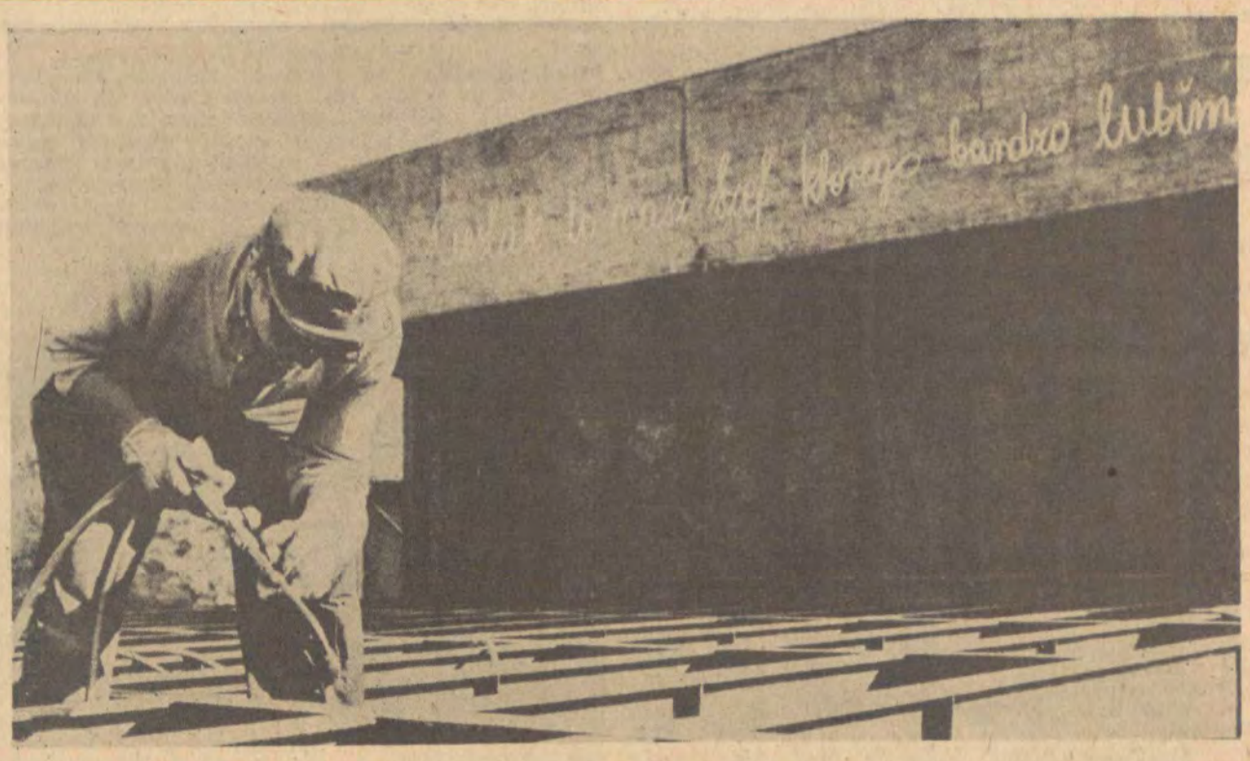

Foto: „Perspektywy"

żna będzie pomyśleć o pełniejszym rozwoju osobowości każdego z członków tego społeczeństwa. Był to czas, kiedy trzeba było po prostu zapewnić ludziom pracę, chleb, ubranie i dach nad głową, trzeba było zlikwidować ułomności poprzedniej formacji ekonomicznej. Ten czas mamy już za sobą.

Pozwolę sobie odwołać się do syntetycznej oceny przeszłości i charakterystyki kierunków dalszego rozwoju naszego narodu, zawartych w uchwale VII Zjazdu PZPR:

„W ciągu trzydziestu lat budownictwa socjalistycznego zbudowane zostały w Polsce podstawy socjalizmu i utrwaliła się jego polityczna oraz społeczno-ekonomiczna struktura.

(...) Urzeczywistniona została pomyślnie większość zadań okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu. Pozwala to Polsce wkroczyć w nowy i wyższy etap budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego."

Czym ma się charakteryzować rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne?

„W sferze ekonomicznej — stwierdza uchwała VII Zjazdu PZPR — **proces kształtowania rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego oznacza dalsze umacnianie socjalistycznych stosunków produkcji, rozbudowę i rekonstrukcje bazy materialno-technicznej, zespolenie osiągnięć rewolucji naukowo-technicznej ze społecznymi walorami socjalizmu, wyższa jakość pracy i efektywność gospodarowania. Zapewnia to wysoka dynamikę rozwoju produkcji materialnej i stwarza warunki zaspokajania materialnych i duchowych potrzeb narodu."**

Każde zjawisko należy rozpatrywać pod względem **ilościowym i jakościowym.** Jeśli w latach planu 6-letniego i następnych pięciolatek rozbudowywaliśmy ilościowo nasz potencjał gospodarczy, to po to, aby stworzyć nowa jego jakość. Dziś nie rezygnujemy z dalszej rozbudowy posiadanego potencjału produkcyjnego, ale dziś jest to już potencjał innej, wyższej jakości i również dążymy do stworzenia jeszcze wyższej jego jakości. Ale dziś zadanie brzmi troche inaczej: **„rozbudowa i rekonstrukcja".** A więc przede wszystkim **tworzenie nowych jakości,** przy wykorzystaniu tego, co z sobą niesie nauka, w powiązaniu z dokonująca się na całym świecie rewolucją naukowo-techniczną.

W wyniku dynamicznego rozwoju gospodarczego kraju stworzyliśmy i tworzymy warunki dla zaspokajania elementarnych potrzeb społeczeństwa. A jednocześnie tworzymy warunki dla zaspokajania potrzeb wyższego rzedu — zarówno materialnych jak i kulturalnych.

„W sferze społecznej — stwierdza uchwała VII Zjazdu PZPR — **kształtowanie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego oznacza wszechstronne urzeczywistnienie idei sprawiedliwości społecznej, dalsze umacnianie socjalistycznych zasad w stosunkach międzyludzkich, socjalistycznej jakości życia nierozerwalnie związanej z podnoszeniem jakości pracy i poszanowaniem jedności praw oraz obowiązków."**

Aktualna pozostaje zasada: **„każdemu według jego pracy".** Zasada ta rodzi jednak pewne nierówności, wynikające z wartości i jakości pracy. Dlatego w polityce socjalnej stosować się będzie **różne formy rekompensaty materialnej** przede wszystkim dla rodzin wielodzietnych, dla uczących się, chorych, a także poprzez zastępowanie pracy prostej pracą złożoną. Przede wszystkim upowszechnienie średniego wykształcenia stworzy ludziom inne warunki startu. Rozwój i modernizacja bazy produkcyjnej stworzą warunki dla wzrostu wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, dla awansu ludzi pracy. Nastąpi dalsza zmiana struktury klasy robotniczej, zwiększy się w niej udział ludzi z wyższymi kwalifikacjami, nastąpi ściślejsze powiązanie klasy robotniczej z inteligencją techniczną. A co niezwykle istotne — rozszerzać się będzie udział ludzi pracy w zarządzaniu gospodarką i innymi dziedzinami życia społecznego.

Odpowiedź na pytanie: **jak żyć?** — musi się wiązać z odpowiedzią na pytanie: **jak pracować?** Praca, która w przeszłości była ciężarem i koniecznością, musi powoli przeradzać się w potrzebę. Dynamiczny rozwój bazy materialnej i technicznej tworzyć będzie bowiem warunki dla zaspokajania uzdolnień i zainteresowań. Praca musi stać się nieuchronnie podstawowym elementem tego, co dziś określamy jakością życia.

Jakość życia można jednak pojmować w dwojaki sposób: uproszczony i pełny. W sposób uproszczony, kiedy pod jakość podstawia się pojęcie „gatunek", a więc traktując ten problem w sposób **ilościowy.** Wyższa jakość będzie wtedy, kiedy człowiek dysponować będzie większą ilością rzeczy, kiedy będą one lepsze, doskonalsze, kiedy będzie żył dostatniej i wygodniej.

Jednakże w socjalistycznym modelu „społeczeństwa dobrobytu" rzeczy nie są **celem** samym w sobie, lecz **środkiem** służącym rozwijaniu osobowości, wzbogacaniu życia intelektualnego. W tym modelu — jak pisze Tadeusz M. Jaroszewski w artykule „Perspektywa: rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne" („Nowe Drogi" nr 2, 1976) **„formuła „żyć, by mieć" zastąpiona zostanie formułą „mieć, by żyć": żyć w sposób ciekawy i bogaty intelektualnie."**

W pełnym traktowaniu jakości życia akcent kładzie się na nowe wartości życia, kiedy problemem jest już nie zaspokajanie potrzeb elementarnych, a potrzeb wyższego rzędu. Zrozumiałe, że aby tak było, musi się zmienić nie tylko baza materialno-techniczna społeczeństwa, ale też wiele innych form jego egzystencji. Musi pojawić się wyższa jakość w pracy handlu, usług, administracji, kultury i wyższa organizacja wypoczynku.

Można bez większego ryzyka powiedzieć, że w warunkach rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego upowszechniać się będzie t w ó r c z y stosunek do życia i pracy. Oznacza to stosunek zaangażowany i nowatorski, a dotyczy to w pierwszym rzędzie sposobu kształtowania własnej osobowości, a poprzez to i rzeczywistości. Do pewnego czasu pojęcie „twórczy" było zarezerwowane dla działalności literackiej i artystycznej. Później pojęciem tym objęto również działalność naukową, a obecnie stosuje się je do tych wszystkich działań ludzkich, które wnoszą coś nowego do codziennej praktyki, które nie ograniczają się tylko do powtarzania schematów, do rutyny, do innego układania tych samych elementów, ale przyczyniają się do **powstawania nowych wartości.** W tym sensie mówimy o twórczej pracy, o twórczych postawach społecznych i zawodowych. Kiedy te założenia i przyszłe kierunki naszego rozwoju społecznego konfrontujemy z rzeczywistością, możemy odnosić się do tego z pewnym sceptycyzmem. Ileż jeszcze mamy do zrobienia? Faktycznie dużo. Stworzyliśmy w zasadzie warunki dla zaspokajania potrzeb elementarnych. W zasadzie dlatego, że w naszym codziennym życiu występują jeszcze różne dysproporcje i zahamowania. Byłoby jednak źle, gdybyśmy tych dysproporcji nie widzieli i byłoby źle, gdybyśmy mimo to nie stawiali sobie ambitnych i śmiałych celów. Aby pozbyć się sceptycyzmu potrzeba wyobraźni. Tylko umiejętność patrzenia na rzeczywistość z pozycji przyszłych celów warunkuje postęp. A takie patrzenie wymaga wyobraźni.

Wyobraźnia potrzebna jest nie tylko artystom. Dawno już stwierdzono, że niezbędna jest ona również naukowcom. W niektórych ośrodkach kształcenia i dokształcania kadr naukowych wprowadzone zajęcia, które nie miały nic wspólnego z nauką. Pozornie nie miały, gdyż wpływały na rozwijanie wyobraźni. A to w konsekwencji sprzyjało innemu podejściu do problemów nauki. Wyobraźnia jest też potrzebna „zwykłym zjadaczom chleba". Potrzebna jest tym wszystkim, którzy swoją codzienną pracą tworzą podstawy przyszłości. A tworzy je prawie każdy z nas.

Wyobraźnia jest podstawą myślenia twórczego, które pozwala każdemu z nas przekraczać własne osiągnięcia, przełamywać nawyki i widzieć rzeczy codzienne w zupełnie innej perspektywie. Wyobraźnia potrzebna jest planistom, potrzebna jest realizatorom tych planów. Nie można myśleć o przyszłości nie posiadając wyobraźni, a o przyszłości myśleć trzeba. Socjalizm polega bowiem między innymi i na tym, że tworząc lepsze warunki na dziś, tworzymy podstawy przyszłości. Socjalizm wiąże się nierozerwalnie z nieustannym postępem, z rozwojem, taka jest przecież dialektyka naszego działania, dialektyka życia..

ŻYCIE ZE ZNAKIEM „Q"

Foto: „Perspektywy"

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

DZIEJE POLSKI DLA KAŻDEGO

Ileż to razy upominaliśmy się o taką właśnie książkę? Nie ukrywaliśmy, że zazdrościmy poprzednim pokoleniom, że potrafiły dostarczyć polskiemu czytelnikowi zwarte, syntetyczne opracowania całości dziejów Polski i nie mogliśmy pojąć, dlaczego nikt nie podjął dziś podobnego trudu. Czyżby opracowanie zwartego, syntetycznego dzieła, takiego, które by w jednym tomie zamknęło całokształt obrazu naszych dziejów, wedle tych ustaleń, którymi dysponuje nasza współczesna nauka historyczna, było niemożliwe? A przecież jednotomowe syntezy niegdyś pisywali najwięksi: Joachim Lelewel, Michał Bobrzyński, Józef Szujski...

Jak ważną jest sprawa syntezy dziejów narodowych, o tym wszyscy byli od dawna przekonani, zdawano też sobie doskonale sprawę z tego, że tego rodzaju dzieło ma nie tylko znaczenie poznawcze, ale powinno spełnić doniosłą rolę społeczną. Bardzo dawno temu postanowiono więc, że przygotowaniem nowoczesnej syntezy historii Polski zajmie się Polska Akademia Nauk. Rozkręcono robotę, podzielono całość na mniejsze lub większe odcinki, przystąpiono do pisania. Rezultaty znamy: do ukończenia PAN-owskiej Historii Polski wypadnie jeszcze poczekać, to zaś, co otrzymaliśmy do ręki, jest bardzo nierównej wartości: pierwsze tomy zdążyły się poważnie zestarzeć, nim ukazały się następne.

Władysław Kopaliński w sarkastycznym felietonie nazwał to dzieło przed laty „wielorybem w kilkudziesięciu kawałkach": rzeczywiście, jest ono tak obszerne, że trudno spodziewać się, aby mogło być podręczną książką dla każdego, który pragnie się zapoznać z takim bądź innym epizodem naszych dziejów: jest wreszcie niedokończone, a więc nie może dać czytelnikowi syntetycznego obrazu całości. Czy w końcu jest w ogóle synteza? Można co do tego — nie ujmując mu jego wartości — mieć różne zdania. W moim przekonaniu, prawdziwa synteze historyczna winna cechować jednolitość koncepcji metodologicznej a z nią, mimo wszystkich wysiłków, jest w PAN-owskiej Historii Polski niezbyt dobrze.

Grono historyków z poznańskiego ośrodka naukowego oraz redakcja historii Państwowego Wydawnictwa Naukowego pokusili się o rzecz niespotykaną: dali do ręki czytelników pierwszą w Polsce Ludowej, pełna jednotomową syntezę historii Polski, obejmującą całokształt naszych dziejów, poczynając od czasów najwcześniejszych, kończąc na współczesności. Trudno doprawdy uwierzyć, że można było to wielkie dzieło doprowadzić aż do dnia wczorajszego: autorzy doprowadzili narrację do progu VII Zjazdu PZPR! Dzieło — pisze jego wydawca na wstępie — jest „pierwszą po wyzwoleniu próbą całościowego ujęcia dziejów Polski, oparta na wynikach najnowszych badań i ustaleń różnych dziedzin nauki historycznej. W „Dziejach Polski" przedstawiony został w sposób dynamiczny i integralny proces rozwoju państwa i narodu z podkreśleniem głównych jego ciągów rozwojowych — historii społeczno-gospodarczej, politycznej i kultury".

Autorzy i wydawca mieli pełną świadomość ogromnej odpowiedzialności, z jaką wiąże się powstanie tego rodzaju syntezy historycznej. Zmierzali do zaproponowania czytelnikowi poglądu na dzieje takiego, który, wypływając z aktualnego stanu nauki historycznej, byłby jednocześnie poglądem naszych czasów. Chodziło im bowiem o syntezę, której można by dać miano współczesnej, a więc takiej, która ukazywałaby w historycznej perspektywie przemiany naszych czasów. Dzieło to — czytamy na wstępie — „ukazuje głębokie przemiany zachodzące w świadomości społeczeństwa polskiego. Są one sumą dorobku dziejowego oraz szeroko rozumianego doświadczenia historycznego narodu, które stały się podstawą głębokich zmian w jego myśleniu politycznym. Odnosi się to zwłaszcza do brzemiennych w ogólnonarodowe doświadczenia lat wojny i okupacji, lat rewolucyjnych przemian w całym kraju, a także lat realizacji programu budowy socjalistycznej Polski. Powstanie władzy ludowej i wynikające z tego faktu konsekwencje ideowo-polityczne przyczyniły się do rozszerzenia pojęcia „historia narodowa", co także znalazło swe odbicie w rozbudowywaniu tych dziedzin historii, które dawniej pomijano lub traktowano marginesowo. Odnosi się to zwłaszcza do włączenia w pojęcie „historii ojczystej" tych kierunków i idei, które przedwojenna historiografia potraktowała drugorzędnie, nie ukazując ich w pełni".

Sygnalizując ukazanie się dzieła chciałbym podkreślić jego znaczenie: oto mamy pierwszą, pełną syntezę historii Polski dla każdego — taką, która powinna się znaleźć w każdym naszym domu. Dzieło to nosi tytuł: „Dzieje Polski" opracowane zostało przez grono uczonych poznańskich, pod redakcją Jerzego Topolskiego, wydane przez redakcje historii Państwowego Wydawnictwa Naukowego z data 1975. Autorami są: Jan Żak, Benon Miśkiewicz, Antoni Gasiorowski, Jerzy Topolski, Jan Wąsicki, Lech Trzeciakowski i Antoni Czubiński. Strona edytorska książki z pewnością przynosi zaszczyt PWN i Drukarni im. Rewolucji Październikowej w Warszawie. Pierwszy rzut, liczący 20 tysięcy egzemplarzy, przeznaczony jest dla członków klubu „Człowiek — Świat — Polityka". „Dzieje Polski" są prawdziwym wydarzeniem na naszym rynku wydawniczym.

LEKTOR

DOROTA KĘDZIERSKA

UMILENIE

najczystszej może
otulonej w biel
mógłbyś to powiedzieć
zamknąłby się pierścień
a strumień podążyłby do wewnątrz
w ogniu heraklitejskim
stopiłyby się w jedno
jej zbliżenie i nieobecność i mój ból
że nią nie jestem
że nie stać mnie na gest
spokojny tylko
pełny
nie umiem być pierścieniem
słodyczą snem nie mam lekarstw
na krzyk szyderstwa
czerń gałęzi gdy patrzę w niebo
ich dziką pieśń
zew milczenia

gdzieś tam jest twa prośba mamo
gdzieś tam jest to czego nie ma

* * *

Wszystkie zegary stanęły.
Gazety wieszczą stracone złudzenia na temat ludzkości.
Fatalizm góruje nad sensem: pożary,
zatonięcia, morderstwa.
Albo moje oczy oślepły.

Stanął zegar mego serca, słodko,
na krawędzi, za którą wieczność mieszka
i koi wszelki ból.

Wczoraj po raz pierwszy
zobaczyłam piękno gór.
Zapamiętać cień chmury
wędrujący nad doliną? Po co.
Żaden wiersz nie oszuka czasu,
tylko ręce, co go piszą
mogą pieścić delikatność roślin
jeszcze kilka godzin
parę dni,
a może nawet dłużej.

Nikt mi nie odpowie,
dlaczego czas się zatrzymał,
a wydarzenia pędzą niczym pociąg,
oszalały pociąg widmo.

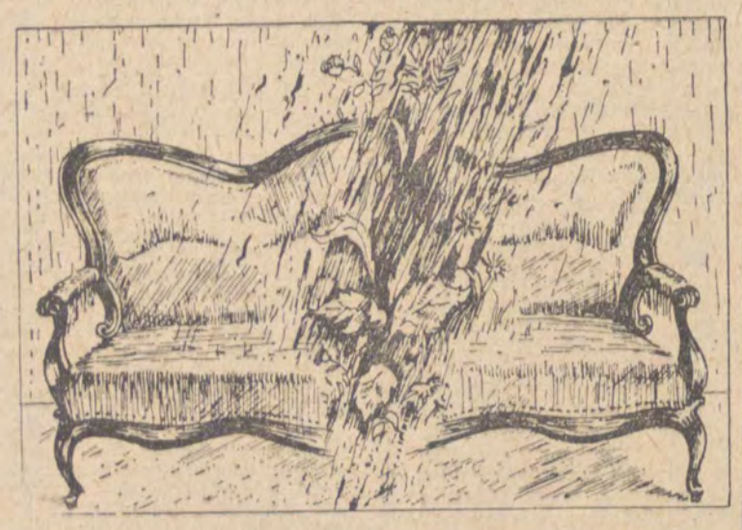

Rys. Janusz Szymański-Glanc

JERZY S. FELIKSIAK

ZANIM pokryje śnieg

Wiatr znad ugorów niesie swój gniew
i ptakom pióra zdziera jak plakat.
Ziemia zmieniona, bez żółtych drzew.
Zamiast świergotu — smutek na dachach.

W dali horyzont jak zdarty próg.
Ramiona grabów skręcone z bólu.
Niebo pokryte chustami chmur.
Kwiaty zmrożone jak czułość.

Cmentarz już ściemniał po blaskach świec.
Jesień pod skronią tętni wspomnieniem.
Zanim to wszystko pokryje śnieg,
listopad ciągnie przez ziemię.

Po śmierci żony, jakieś piętnaście lat temu, syn, który mieszkał w mieście, namówił go, żeby sprzedać ziemię i gospodarkę. Cóż miał począć? Właśnie i druga córka, jeszcze prawie w żałobie, wyszła za mąż do miasteczka. Uzyskane ze sprzedaży pieniądze podzielił odpowiednio między dzieci, część zostawił dla siebie i, zrezygnowany, przeniósł się do syna.

Zajmowali część parteru w drewnianym domu, znajdującym się dość blisko od tramwajowego przystanku: syn z żoną, on. Po upływie pewnego czasu, wnuczek pierwszy i wnuczek drugi. Syn w tym mieście ukończył studia, w tym mieście zaczął pracować. Mimo całkowitego zerwania z przeszłością, ojciec przyzwyczaił się jakoś, czuł się nieźle. Była to dzielnica jeszcze ledwie do miasta przynależna: częściowo drewniana, częściowo murowana. Po dziesięciu minutach można było wyjść na łąki, przez które płynęła nieśmiała struga. Przy domu rosło parę brzóz o poczerniałej od miejskich dymów korze, za domem, na nieuporządkowanym podwórku sterczało kilka z roku na rok dziczejących jabłoni, dwa krzaki bzu o wątłych, ledwie liliowych okiściach w maju.

Do synostwa w niedziele i święta przychodzili w odwiedziny równie młodzi ludzie; gdy czasem trochę wypili, można było z nimi porozmawiać i o sprawach wiejskich, o deszczach, co sprzyjały urodzajom, o mrozach, zagrażających oziminom.

Synowa, kobieta ambitna i energiczna, której ojciec był właścicielem małego zakładu meblarskiego, teścia traktowała z pobłażliwością, dla gości była wyrozumiała, choć trochę ironiczna, gdyż wolała swoje miejskie towarzystwo jeszcze z okresu panieństwa. To jej towarzystwo najchętniej rozmawiało o nowych mieszkaniach w nowych blokach, o różnych nowościach przemysłowych, udogadniających lub umilających życie, jak pralki, lodówki, po pewnym czasie — telewizory. Opowiadano sobie szczegółowo o przeszkodach, piętrzących się na drogach do tych nowości zdobywania.

Upłynęło nieco czasu i syn — zdolny był, obrotny — uzyskał lepsze stanowisko. Choć mieli wiele z tym kłopotów, wiele było bieganiny po urzędach — wreszcie także przenieśli się do nowego mieszkania w blokach, w dzielnicy przylegającej do śródmieścia. Szkoda było poprzedniego mieszkania, było o wiele większe, ale to nowe miało centralne ogrzewanie i inne wygody. Szkoda było poprzedniego mieszkania, przecież stary posadził dwa drzewka, po roku zaś zaszczepił na nich zrazy. Poza tym krzyżujące się w pobliżu bloków ulice były hałaśliwe: tramwaje, autobusy, samochody. Dobrze, że przynajmniej do kościoła nie było daleko. Chciał kiedyś odwiedzić owe dwie jabłonki, ale synowa go wyszydziła:

— Może sobie tutaj ojciec kwiatki podlewać!

Kwiatki to babska rzecz... Gdy zostawał sam z wnuczętami, właził czasem w kuchni na przysunięty do wewnętrznej ściany taboret, otwierał na oścież białe drzwiczki pawlacza, wpatrywał się cierpliwie w ciemne w pierwszej chwili jego wnętrze, by powoli zacząć odróżniać kontury przedmiotów. Wśród różnych staroci, jak gdyby pozbawionych codziennej egzystencji, znajdowała się i jego kobiałka z szerokim płóciennym pasem. Ileż wsiał ziarna w rolę, dźwigając przed sobą tę kobiałkę na pasie, przewieszonym wokół szyi przez ramię. Teraz zamiast ziarna znajdowało się w niej trochę pamiątek z dawnego życia. Dla innych, nawet dla syna, zupełnie bezwartościowych, ale dla niego... oho! Był w niej łyżnik i kilka drewnianych łyżek, stara latarnia, towarzysząca zimowemu oporządzaniu bydła, był pęczek ziół, poświęconych w święto Matki Boskiej Zielnej, ostatnie za życia nieboszczki. Potem nikt już nie woził ziół na poświęcenie do parafialnego kościółka.

W odwiedziny do syna i synowej przychodzili teraz zupełnie inni ludzie. Miejscy, nie interesujący się sprawami wsi, chociaż nie wszystkim z nich były one nieznane, prowadzili rozmowy o stosunkach w swoich instytucjach, opowiadali o tym, co kto kupił sobie na raty czy też za gotówkę. To chyba ci ludzie wraz z synową wpłynęli na to, że i w ich mieszkaniu pojawił się szeroki tapczan, pojawiły się nowe meble, połyskujące, na zgrabnym niskim stoliku stanął wreszcie telewizor.

Stary łatwo przyzwyczaił się do telewizora, zapoznał się z guziczkami i pokrętłami, najchętniej razem z wnukami oglądał bajki, słuchał opowiastek, nigdy też nie opuszczał komunikatów meteorologicznych. Wrzaskliwe piosenki i łamańce na pół obnażonych kobiet, które tak chętnie były słuchane i oglądane przez syna i synową — nie ciekawiły go, nawet raziły.

Podczas nieobecności synostwa, kiedy odzywał się telefon, żwawo podchodził i podnosił słuchawkę, ale wkrótce tego zaniechał, gdyż tak się zdarzyło, że dwukrotnie, raz za razem, pytano o miejskie przedsiębiorstwo pogrzebowe. Stary nie chciał dopuścić myśli, że to zwykła pomyłka, natrętne pytanie uważał za czyjąś złośliwość. Odtąd do telefonu podchodził

JAN HUSZCZA

JESZCZE JEDNA PRZEPROWADZKA

Rys. Janusz Szymański-Glanc

starszy wnuczek, który zaczął uczęszczać do szkoły.

Małżeństwu powodziło się widocznie coraz lepiej, synowa weszła do zespołu, opracowującego wychowawcze audycje dla zakładów pracy — z mieszkania stale coś usuwano, stawiając na to miejsce nowy przedmiot. Ledwie człowiek do czegoś się przyzwyczaił, wiedząc, że zobaczy to samo jutro i pojutrze — nagle niespodzianka, oko odnajduje coś nowego, zupełnie obcego. Kiedyś zapytał synową, co się dzieje z ich znajomymi z drewnianego domu. Żaden z nich ani razu tutaj się nie pokazał. Roześmiała się:

— Skąd mogę wiedzieć?! Nie nasz krąg!

Spojrzał na nią zgorszony, powiedział karcąco:

— Oj, nie lubicie wy ani ludzi, ani rzeczy... Tak ja to rozumiem...

— Lubimy, tato, lubimy... Tylko że życie nie stoi w miejscu!

Stary nosił się z zamiarem opowiedzenia o tej rozmowie synowi. Chciał się poskarżyć, a raczej zwrócić mu uwagę na tę niepotrzebną jego zdaniem gonitwę, niemądrą szarpaninę, ciągłe zmiany — doszedł jednak do wniosku, że przecież nic tu się nie dzieje bez współudziału małżeństwa i bez ojca synowej.

Nowi znajomi w rozmowach od czasu do czasu jakby się podbechtywali... Ostatnio najczęściej rozmawiano o samochodach. Jeden z rozmówców już go miał. Więc on i jego samochód, jakieś nieporozumienia na szosach budziły najżywszy oddźwięk. Właściciel wozu stawał się tematem żywych uwag nawet i po rozejściu się gości. Wymieniano z nabożeństwem cudzoziemskie słowa, nazwy rozmaitych wozów.

W mieszkaniu zjawił się — tak, zjawił się, była to niemal uroczystość — nowy telewizor zagranicznej marki. Poprzedni sprzedano za bezcen. Małżeństwo nie spuszczało oczu z nowego telewizora przez kilka dobrych dni. Miał znacznie większy ekran, z pudła wysterczały pokrętła o innych kształtach, inne guziki do naciskania. Inaczej też były usytuowane. Uczono i ojca, co i w jakiej kolejności naciskać, jak się z nowym gościem obchodzić, ale stary po paru próbach zniechęcił się, zezłościł:

— Nie, ja już niczego nie chcę się uczyć. Starczy!

Coraz częściej siedział lub leżał na łóżku w swojej bokówce obok kuchni. Ożywiał się tylko wtedy, gdy synowa wyprawiała go z wnukami do parku. Oni zresztą umieli obchodzić się z nowym telewizorem, do takich spraw byli skorzy, łatwo wszystko pojmowali.

Jednej z wiosennych niedziel postanowił pojechać na przedmieście, znaleźć jednak ów drewniany dom, popatrzeć na jabłonki, muszą być duże, może właśnie kwitną. Długo błądził wzdłuż ulicy, to i owo rozpoznał, ale nie mógł wypatrzeć domu, tym bardziej zaś jabłonek. Doszedł wreszcie do przekonania, że właśnie na miejscu, gdzie stał ów drewniany dom, budowano kamienicę, czerwieniały mury dwóch pięter, a do końca było jeszcze daleko, wokół leżały cegły, jakieś belki, złomy z betonu, stała betonomieszalka. Miał tylko tę satysfakcję, że wypróżnił się pod jedną ze ścian. Stary spóźnił się na obiad. Powołał się na to, że przypadkiem spotkał znajomego ze starej ulicy, nazwiska jego nie znał, ale długo z nim rozmawiał.

I oto jak grom z jasnego nieba spadła na niego wiadomość o nowej przeprowadzce. Wcześniej przeczuwał coś niedobrego: półsłówka syna i synowej, dochodzące czasem szepty z ich pokoju, goszczenie jakiegoś mężczyzny o obfitych baczkach. Myślał jednak, że to tylko ich plany na daleką przyszłość, marzenia o większym mieszkaniu. Ale pewnego razu, podczas obiadu, synowa wskazała na oszkloną szafę z książkami. Nie było tych książek wiele i rzadko tę szafę otwierano, ograniczając się do ścierania kurzu, by lśniło grube szkło.

— Wiesz, Józek, książki mają teraz ładniejsze okładki. Oglądałam witrynę. A nasze...

— Masz rację, Bożena, nie warto ich przewozić, trzeba będzie kupić trochę książek w ładniejszych oprawach.

Staremu przypomniała się kobiałka. Po obiedzie, po sprzątnięciu ze stołu, po umyciu naczyń, co należało właśnie do niego, a czym nawet dość chętnie się zajmował — gdy małżeństwo udało się na drzemkę, po cichu podsunął taboret pod ścianę, żeby zajrzeć na pawlacz.

Długo i z niedowierzeniem wpatrywał się w ciemną głąb, skąd szedł przały zapach. Niestety, nie było kobiałki. W ogóle pawlacz był pusty. Widocznie synowa wraz z innymi starymi rzeczami wyrzuciła i jego kobiałkę, stopniowo szykując się do przeprowadzki.

Stary nie przyszedł do kolacji. Zaglądał do niego syn, zaglądała synowa. Nie, nic mu nie jest, nic go nie boli, ale nie ma apetytu, chce spokojnie poleżeć. O kobiałkę nie zapytał nawet, bo po co.

Zjawił się lekarz. Młody, w okularach.

— Co mu jest, panie doktorze? — pytała potem synowa w saloniku, który zarazem był jadalnią i pokojem dla dzieci.

— Nie bardzo mogę zrozumieć... — wzruszył ramionami lekarz. — Temperatury właściwie nie ma, tylko tętno znacznie zwolnione, jest bardzo osłabiony. — Powiedział to i zabrał się do wypisywania recept.

— Wmówił w siebie chorobę!

— Wmówił? Jak to? Z jakiego powodu? — lekarz uniósł twarz ku pani domu.

— On chce odwlec naszą przeprowadzkę, panie doktorze! Już ja ich znam, tych wsioków!

KIM JESTEŚ DYREKTORZE?

Dalszy ciąg ze str. 1

cy stanowiska, z którymi łączy się określenie dyrektor zajmują się nie tylko zarządzaniem, sterowaniem produkcją, techniką, ale całym — z reguły bardzo złożonym i skomplikowanym — organizmem, którego funkcjonowanie zależy w co najmniej równym stopniu od sprawności parku maszynowego, jak i wyboru najwłaściwszych powiązań, organizacji pracy, ba — bawet umiejętnego wykorzystania, w pozytywnym znaczeniu, indywidualnych ambicji, zdolności i cech charakterologicznych podległego personelu, kształtowania tego wszystkiego co zwykliśmy określać mianem „stosunków międzyludzkich".

Być może w tym miejscu powiecie: ależ to są ogromne wymagania! Kto je może odpowiednio wypełniać — ekonomista inżynier, a może raczej psycholog wsparty odpowiednim przygotowaniem fachowym, specjalistycznym w jakiejś dziedzinie gospodarowania czy administrowania?

Jak by nie było, już z racji na ogromną rolę nie tylko w organizowaniu procesów wytwórczych, ale również w formowaniu stosunków zachodzących w trakcie pracy, co jak doskonale wszyscy już dziś rozumiemy nie pozostaje bez wpływu na ostateczne jej rezultaty, warto znaleźć odpowiedź na pozornie tylko proste pytanie: kim jesteś dyrektorze?

W ZWIERCIADLE STATYSTYKI

Może najpierw zacznę od liczb, by w ten sposób w możliwie ścisłych wymiarach zaprezentować grupę społeczną o — jak się już tutaj powiedziało — niebagatelnym znaczeniu. Odwołam się przy tym do najnowszych badań, by i w tej dziedzinie możliwie nadążyć za ogromnie szybkimi procesami przemian, które łączyć trzeba z przeobrażeniami zachodzącymi nie tylko w ekonomice naszego kraju.

No, ale do rzeczy, czyli — niestety — do liczb, a przedstawiają się one tak:

w całym kraju mamy około 104 tysiące osób, które z racji na wykonywane zajęcia posługują się tytułem dyrektora;

dla uściślenia całej tej jednak „sprawy" warto w tym miejscu dodać, że z tytułem dyrektor związanych jest 86 stanowisk kierowniczych, co inaczej mówiąc oznacza ni mniej ni więcej tylko to, że formalnie biorąc nie każdy dyrektor... jest dyrektorem.

Nie są to jednak najważniejsze dane odnoszące się do tej grupy naszego społeczeństwa. W moim przekonaniu znacznie ciekawsze są choćby takie stwierdzenia, jak to, że niemal **75 proc. naszych dyrektorów ma 45 lub nieco tylko więcej lat** (znajduje się „w przedziale" 45—50), że na owe **104 tysiące stanowisk określanych mianem dyrektorskich, nieco więcej jak 11 tysięcy zajmują kobiety**. Jeśli więc można powiedzieć, że ogólnie biorąc nasza kadra dyrektorska prezentuje obok „średniego wieku" duże doświadczenie zawodowe, to z drugiej strony nie można stwierdzić, by i w tej dziedzinie silnie zaznaczały się, tak charakterystyczne dla wielu zawodów czy też stanowisk, procesy feminizacyjne.

Oczywiście, są i tutaj pewne wyjątki od reguły, a do nich z całą pewnością należy szkolnictwo, gdzie 40 proc. stanowisk dyrektorskich zajmują kobiety, no ale tak ma się rzecz w przypadku zawodu, w którym maluczko — maluczko, a będziemy w ogóle mężczyźni ze świecą szukać, jak bowiem wiadomo blisko 75 proc. wszystkich nauczycieli pracujących w naszym szkolnictwie stanowią kobiety. Są jeszcze inne ciekawe niezmiernie liczby odnoszące się do tego problemu, choćby te: **tylko 12 kobiet piastuje w Polsce stanowiska dyrektorów departamentów odpowiednich resortów, no ale 4367 pań kieruje przedsiębiorstwami bądź też jest zastępcami dyrektorów naczelnych.**

Idźmy jednak dalej w prezentacji tej grupy społecznej, a oczywiście niebagatelną kwestią w tym przypadku jest sprawa wykształcenia, słowem — kwalifikacji. I krótko powiedziawszy, dane statystyczne mają tutaj jednoznaczną wymowę: jeśli bowiem 48 proc. wszystkich stanowisk kierowniczych łączy się z koniecznością posiadania wyższego wykształcenia, to równocześnie 81 proc. całej kadry dyrektorskiej spełnia to wymaganie. Inaczej mówiąc — choć to trochę zawiłe, ale niezmiernie istotne — na wielu stanowiskach dyrektorskich, z którymi nie łączy się nawet dziś wymaganie legitymowania się ukończeniem studiów wyższych pracują ludzie posiadający takie wykształcenie. I choć to pozornie bardzo ładnie wygląda, nie jestem pewien czy jest to zjawisko właściwe z punktu widzenia interesów społecznych, jako że w tym miejscu można by snuć rozmaite i chyba istotne rozważania na temat efektywizacji umiejętności, kwalifikacji, rozmieszczenia ludzi zgodnie z potrzebami. Tak jest, potrzebami, z niczym innym. Wypada też jeszcze dodać, to już dla całości obrazu, że im wyższy szczebel zarządzania, tym wskaźnik wykształcenia gwałtownie rośnie i tak dla przykładu **w przedsiębiorstwach wielozakładowych, kadra kierownicza w 90 proc. legitymuje się dyplomami magisterskimi, inżynierskimi, a do rzadkości nie należą wcale i tytuły doktorskie.**

Jest jednak w tym pewien szkopuł.

Jaki?

TECHNIKA OTWIERA DROGĘ?

Jeśli fakty odnoszące się do owych 104 tysięcy obywateli naszego kraju, którzy zajmują stanowiska dyrektorskie podda się jeszcze bardziej wnikliwej ocenie, to niekiedy zupełnie niespodziewanie ujawnią się pewne zjawiska ogólniejszej już natury. Jednym z nich jest chyba stosunkowo najłatwiej zauważalna cecha, bo nie chciałbym powiedzieć prawidłowość, a mianowicie to, że **do dyrektorskiego „fotela" stosunkowo najłatwiejszą drogę mają osoby posiadające wyższe wykształcenie techniczne**. Bez obawy o popełnienie większego błędu można przyjąć, że na 100 zakładów przemysłowych, w 90 stanowisko dyrektorskie, naczelne — dla jasności, piastuje nie kto inny, jak tylko osoba posiadająca wykształcenie techniczne. Specjaliści z innych dziedzin, takich nawet jak ekonomia, prawo stanowią ogromną mniejszość.

Tyle liczby, ale zjawisko jest na tyle ciekawe, a w moim przekonaniu ma też swoje ogólniejsze konsekwencje, iż warto się nieco przy nim zatrzymać, może popróbować znaleźć odpowiedź na istotne chyba pytanie: **skąd się ten techniczny trend bierze?**

Z pewnością jest to rezultat sytuacji z jaką mamy do czynienia w składzie profesjonalnym osób zatrudnionych w naszej gospodarce, gdzie **40 proc. wszystkich pracujących, a posiadających ukończone wyższe studia, to nie kto inny tylko inżynierowie**. Już ten układ daje niejako liczbowe preferencje technikom, ale chyba wszystkiego nie tłumaczy. Wydaje mi się, że grają tutaj rolę jeszcze inne czynniki, jak choćby narosła latami, w trakcie realizacji wielkich posunięć inwestycyjnych, ciągła przewaga w procesach kierowania zjawisk technicznych nad ekonomicznymi, choć przecież... te pierwsze służą niczemu innemu, jak tylko osiąganiu celów gospodarczych. Nie można też powiedzieć, by aktualnie występujące proporcje — nazwijmy je tak — „wykształceniowe", były powszechnie akceptowane. Coraz częstsze są opinie utrzymujące, iż w pewnych warunkach techniczna specjalizacja kadry kierującej może stanowić dosyć istotną przeszkodę w podejmowaniu śmiałych decyzji, o skutkach daleko wybiegających poza granice wyznaczane stosowaną w praktyce techniką. Dotyczy to przede wszystkim wielkich organizacji gospodarczych, przedsiębiorstw składających się z kilku zakładów o zróżnicowanej technologii wytwarzania. W takich właśnie przypadkach technika może przytłaczać nadrzędne cele, a więc zadania społeczno-gospodarcze.

„AMERYKĘ" JUŻ DAWNO ODKRYTO

W tym miejscu wypada mi wrócić do pojęcia dyrektora, z którym ściśle związane jest kierowanie, organizowanie, administrowanie, a więc olbrzymie obszary działalności finansowej i prawnej, gospodarowanie siłami ludzkimi, materiałami, setkami milionów złotych, no i także — oczywiście — maszynami, ale zaryzykuję: wcale nie w ściśle inżynierskim tego słowa znaczeniu. Nie jestem tak zupełnie pewny czy dyrektor nowoczesnego przedsiębiorstwa musi się znać na budowie i funkcjonowaniu każdej maszyny, jaka pracuje w zarządzanym przez niego przedsiębiorstwie. Natomiast skłonny jestem twierdzić, iż musi on doskonale wiedzieć, czym jest ów mechanizm w całokształcie procesów ekonomiczno-wytwórczych, którymi on kieruje zmierzając do uzyskania określonych rezultatów, właśnie — ekonomicznych.

Foto: Archiwum

W takim ujęciu dyrektor jawi się nam nie tyle, a właściwie — na pewno nie jako specjalista od techniki, lecz jako organizator.

Pozwolę sobie powtórzyć: „Amerykę" już dawno odkryto i zrobił to nie tylko Servan-Schreiber — wskazując w swej głośnej książce na zaniedbania, na zacofanie w tej właśnie dziedzinie przemysłu francuskiego, lecz na to samo wskazywali specjaliści radzieccy, nasi sąsiedzi w krajach socjalistycznych na zachodzie i południu. Ba, nie tylko teoretycznie opracowali ten problem, lecz podjęli pierwsze, ale od razu zdecydowane kroki mające na celu wypełnić ową „lukę organizacyjną". Przykład? W ZSRR powołano do życia Instytut Gospodarki Narodowej, a jak stwierdził jego rektor — prof. dr W. G. Szorin (na łamach „Ekonomiczeskiej Gaziety"):

„Instytut ten został utworzony dla doskonalenia pracowników kadrowych gospodarki narodowej, drogą uzupełniania ich wiedzy w dziedzinie zarządzania, organizacji produkcji, metod ekonomicznych i stosowania informatyki w planowaniu Nauka o zarządzaniu stała się dla czynników kierowniczych pierwszorzędną".

A jeśli już mowa o praktycznych krokach podjętych nie tylko w ZSRR — ale zostańmy przy tym przykładzie — to dodajmy jeszcze, że przy pięciu uczelniach ekonomicznych istniejących w Moskwie, Charkowie, Świerdłowsku, Leningradzie i Kijowie utworzono **„wydziały podnoszenia kwalifikacji w dziedzinie organizacji produkcji"**. Kształcą się w nich dyrektorzy nie mogący się wykazać odpowiednimi umiejętnościami w dziedzinie trudnej sztuki zarządzania, która przez wielu utożsamiona jest z organizowaniem.

Nie chciałbym być źle zrozumiany: bynajmniej nie odmawiam inżynierom prawa do... dyrektorowania. Chodziło tylko o to, że **w miarę rozwijania, unowocześniania naszej gospodarki, a szczególnie przemysłu — polityka kadrowa nie może się opierać o dziewiętnastowieczny i trącący myszką model, gdyż mimo wszystko** — to byłoby za proste — **nie tylko technika decyduje**. A dodajmy już w charakterze uwagi marginesowej: **absolwenci naszych wyższych uczelni technicznych wynoszą raczej dosyć mizerne umiejętności i wiadomości o mechanizmach rządzących gospodarką i gospodarowaniem**, nie mówiąc już o takich dziedzinach, jak np. prawo administracyjne, nowoczesne metody organizacji pracy i produkcji.

TRUDNY KAWAŁEK CHLEBA

Stanowisko dyrektora cieszy się w naszym społeczeństwie sporym uznaniem, jest niemal powszechnie uważane za duże osiągnięcie w karierze zawodowej, chociaż — rzecz też dosyć charakterystyczna — daleko mu do swoistego „nimbu", który był w potocznym obiegu choćby w latach międzywojennych. W taki to sposób dają o sobie znać procesy demokratyzacji, społeczne przemiany, w których nawet „fotel" dyrektorski stał się tym czym w istocie powinien być: szczeblem w życiowej drodze ludzi zdolnych, posiadających pewne predyspozycje w kierowaniu, zarządzaniu, organizowaniu. No, a że nie zawsze tak jeszcze jest, to już całkiem inna sprawa — jakby powiedział mądry Ben Akiba...

Zresztą, nie jest to łatwy kawałek chleba. Nieprzypadkowo przecież zawał serca nazywany jest potocznie „chorobą dyrektorską". Składają się na ten stan rzeczy dosyć różne przyczyny, w których nie najmniejszą rolę spełniają niedostatki organizacyjne zarówno w modelu zarządzania jak i dosyć spore jeszcze zacofanie techniczne służb pomocniczych, które powinny wspierać pracę naszych szefów. Dyktafon, sekretariat, który „przepuszcza" do gabinetu dyrektorskiego tylko to co rzeczywiście tam powinno trafić, racjonalne wykorzystanie czasu pracy i odpoczynku, są to wszystko sprawy daleko odbiegające od stanu już nawet nie idealnego, ale przyzwoitego. Wiele z urządzeń technicznych ułatwiających działanie „szefów", jest po prostu u nas ciągle jeszcze nieznanych, a zaryzykuję — byłyby one bardziej pomocne i pożyteczne od służbowego samochodu. Nawet jeśli jest nim czarna „Wołga"...

No, ale poważnie mówiąc: jak się przedstawia dzień pracy statystycznego, a więc przeciętnego dyrektora, przy czym dodajmy od razu, że jest to praca nienormowana, co znaczy nic innego, że praktycznie nie może on zamykać swojego biurka o godzinie 16, tak jak to zwykli czynić jemu podlegli pracownicy, a co robi od godziny 8 rano?

na wizytację oddziałów produkcyjnych dyrektorzy badanych zakładów przeznaczyli 25 proc. swojego czasu, albo raczej „zajęć";

spotkania dyrekcji pochłaniały 5 proc. nominalnego czasu;

dalsze 8 proc. zabierała praca z działami zarządzania przedsiębiorstwa;

spotkania z przedstawicielami czynników społecznych — 16 proc.;

przeglądanie i podpisywanie korespondencji — następne 8 proc.;

sprawy ochrony zakładu — 2 procent;

przyjmowanie od pracowników skarg i wniosków — 3 proc.;

konferencje i narady wewnętrzne — 9 proc.;

Podobne konferencje i narady, tyle że poza przedsiębiorstwem — 23 procent.

Nie wdając się w szczegółową analizę zauważę więc tylko, że każdy nasz przeciętny czyli statystyczny szef cierpi przede wszystkim na chroniczny wręcz brak czasu, a poza tym doskwiera mu nadmiar wszelkiego rodzaju posiedzeń, narad, co gorsza faktycznie nie wymagających jego obecności, ale na których „jest" przynajmniej fizycznie — bo być „powinien". Czyżby? Już tyle mitów wywróciliśmy do góry nogami przy okazji racjonalizowania naszej gospodarki i administracji, że może i do tego zabrać się pora. Z pożytkiem nie tylko dla tych co piastują dyrektorskie pełnomocnictwa.

I tak powiedziałem niejako w charakterze „podsumowania". By nie zabierać więcej czasu Czytelnikom, wśród których być może znajdzie się jeden ze 104 tysięcy „naszych" dyrektorów.

KRZYSZTOF POGORZELEC

HALINA STĘPLÓWNA

TRAGICZNY ZAPIS

— Proszę pani, ja tu interweniuję trzeci raz, bo żona jest całkiem sztywna, już robi się zimna. Nie mogę dostać żadnego lekarza z pogotowia. Co mam teraz robić?

— Żona ma bóle brzucha?

— Proszę jak najszybciej przyjechać, ona już prawie nie żyje.

— Prawie nie żyje z bólu?

— Ona już się robi zimna.

— Wymiotuje?

— Ja raz o 11 już tu dzwoniłem.

— Wymiotuje żona?

— Potem drugi, a teraz trzeci.

— Pytam czy wymiotuje?

— Nie mówi wcale, sztywna całkiem.

— Ale czy wymiotuje?

— Nie wiem co się teraz zrobiło.

— A kiedy to się stało, że zesztywniała?

— Była godz. 6 rano, żona dostała boleści brzucha, potem jej przeszło trochę, ale od 11,00...

— Dobrze proszę pana, karetka zaraz wyjedzie.

— Dziękuję.

Tę rozmowę, odtworzoną z taśmy magnetofonowej przeprowadził lekarz dyżurny pogotowia 30 kwietnia tego roku o godz 13.50 z Janem D., wywiązującym bezskutecznie od godz. 11. z minutami karetkę do żony, która tego dnia nagle zasłabła. Pierwsze wezwania nie były niepokojące. Jan D. mówił, że żona ma bóle brzucha i wymioty, ale rozmowa zarejestrowana już o godz. 13.50 wskazywała, że stan pacjentki jest bardzo poważny. Mimo to, karetka wyjechała z bazy o 14.16, a na ul. Marusarzówny na Retkinię — dotarła o godz. 14.50. Na pomoc było już za późno. Lekarka stwierdziła zgon 36-letniej Barbary D. Sprawą zajęła się prokuratura, wszczynając dochodzenie wyjaśniające przyczynę nagłej śmierci młodej jeszcze kobiety.

W obszernej opinii, sporządzonej przez lekarza Zakładu Medycyny Sądowej WAM, konkluzja ostateczna brzmi: **przyczyną zgonu Barbary D. stało się ostre skrwawienie wewnętrzne, spowodowane pęknięciem ciąży pozamacicznej.**

Dalej lekarz stwierdza: **dostatecznie wczesne rozpoznanie takiego przypadku jest obecnie z powodzeniem leczone operacyjnie. W wypadku wcześniejszej pomocy lekarskiej, na którą składają się — prawidłowa diagnoza, przewiezienie chorej do szpitala, a następnie leczenie operacyjne — istniała szansa uratowania życia Barbary D.**

Dlaczego więc nie wysłano karetki po otrzymaniu trzech kolejnych wezwań, a kiedy zrozpaczony mąż zwrócił się do lekarza dyżurnego, pogotowie wyjechało z 20-minutowym opóźnieniem, docierając na miejsce po przeszło pół godzinie?

Z wyjaśnień, złożonych w prokuraturze przez pracowników pogotowia wynika, że tego dnia było sporo innych wezwań, wymagających szybkiej pomocy lekarskiej. Pełniąca w tym dniu dyżur radiodyspozytora — Zofia H. powiedziała m.in.: **gdyby zgłaszający wspomniał o ciąży, natychmiast wysłalibyśmy zespół położniczy. Karetki wracające do bazy kierowaliśmy w tym czasie do innych przypadków: zemdlenia na ulicy, ataku serca, wypadku w zakładzie pracy.**

Dalej Zofia H. stwierdza: **ostatnią reklamację w tej sprawie zanotowano o godz. 13.50. Tym razem Jan D. rozmawiał z lekarzem dyżurnym, który nie przekazał jednak żadnego polecenia ani mnie, ani też starszemu dyspozytorowi. Ponieważ nie znałam treści tej rozmowy, wpisałam wizytę na ul. Marusarzówny w normalnym trybie, jako pierwszą dla zespołów, które zaczynają dyżur o godz. 14.**

Mówi lekarka Ewa S.:

Zlecenie na wyjazd do chorej Barbary D. otrzymałam bezpośrednio od dyspozytorki. Wyjechaliśmy o godz. 14.16, a w mieszkaniu pacjentki byliśmy dopiero przed 15. Trwało to tak długo, ponieważ nie mogliśmy odszukać bloku i krążyliśmy po osiedlu. Przed domem czekał mąż chorej. Pacjentka już nie żyła. Natychmiast połączyłam się telefonicznie ze starszym lekarzem pogotowia, potem jeszcze rozmawiałam z dyrektorem i postanowiliśmy zawiadomić milicję.

Dalszy ciąg na str. 8

FILM

CZY MOŻNA WINIĆ?

Najnowszy film Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego „SKAZANY" budzi uczucia mieszane. Jego posłanie nie do końca jest jasne. Trzos-Rastawiecki stawia, a ściślej prezentuje problem, wobec którego najtragiczniejszy zasób doświadczeń nie pozwala zająć jednoznacznego stanowiska. Problem ten nazwali ludzie eutanazją — „dobrą śmiercią", zabójstwem nieuleczalnie chorego, cierpiącego człowieka, zabójstwem dokonanym na jego żądanie i pod wpływem współczucia czy litości. Zgody na prawo do eutanazji ludzkość nie wyraziła, jej problem jednak, jako jeden z najtrudniejszych, nierozstrzygalnych problemów moralnych, powraca. Staje się sprawą publiczną, gdy do aktu eutanazji dochodzi. Jest straszliwym dramatem dla tych, którym myśl o niej o obliczu cierpienia drugiego, często bardzo bliskiego człowieka, przychodzi.

Film „Skazany" ukazuje sytuację, w której tą myśl staje się faktem, choć faktem niezupełnie wprost. Główny bohater filmu sam nie zabił, nie uśmiercił, uszanował jedynie samobójczą decyzję chorego i nie przyszedł mu z pomocą. Takie skonstruowanie przebiegu dramatycznych zdarzeń jest pierwszym, wyjściowym sygnałem, który każe nie tyle stawiać w wątpliwość intencje autora filmu, bo są one ze wszech miar szlachetne, co pytać właśnie o celowość posłania „Skazanego".

Autor scenariusza i reżyser w jednej osobie, Trzos-Rastawiecki oskarżonego w tym filmie człowieka nie uczynił bezpośrednim wykonawcą decyzji o przerwaniu cierpień brata. I znów trudno w obliczu tego problemu mówić, że reżyser ułatwił sobie sytuację. A jednak coś w tym jest, coś co generalnie określa stosunek ludzi do problemu eutanazji. Trudniej byłoby reżyserowi inscenizować proces sądowy, trudniej przekonywające kwestie wygłaszać ustami obrońcy, trudniej ogłosić wyrok taki, jak: ogłoszono na koniec filmu, gdyby Ryszard Bielczyk sam zadał śmierć swemu bratu. Wybór sytuacji dokonany przez reżysera w znamienny sposób charakteryzuje bezradność ludzi i w rozstrzygnięciu prawa człowieka do decyzji, która przecież wydaje się czasami najbardziej humanitarna.

Można by powiedzieć, że Andrzej Trzos-Rastawiecki wykazał wielką odwagę podejmując ten problem. Jaki był jednak cel tej odwagi? Czy jego film wnosi coś nowego, jakiś nowy aspekt moralnych rozstrzygnięć, czy tylko rozważań o sprawie, o której tu mowa. Nie sądzę. A więc, jaki jest cel tego filmu, jakie jego posłanie? Czy można posądzać twórcę, że dramatyczną sensacyjność tematu stała się głównym motywem realizacji „Skazanego"? Nie, chyba nie. Myślę, chcę myśleć o filmie Trzosa-Rastawieckiego jako o dziele, które ma zmusić widza do chwili refleksji. Refleksji nad ulotnością życia, ulotnością, której świadomość ma zobowiązywać do odpowiedzialności za nie, głównie odpowiedzialności moralnej.

Nie interesuje mnie w filmie Trzosa-Rastawieckiego przebieg rozprawy sądowej, nie interesują mnie z dwóch pozycji — prokuratorskiej i obrończej — rzucane słowa o „ludzkim odruchu". Wiem, że racje są tu po obu stronach, to znaczy, że nie ma z nich wyjścia. Wiem, że mnie o niczym ni jedna ni druga strona nie przekona. Wiem, że z pozycji obserwatora dramatu nie potrafię dokonać żadnego wyboru, wiem, że w środku dramatu tego wyboru dokonać bym musiała.

W filmie Trzosa-Rastawieckiego ta sądowa rama dramatu mnie irytuje, choć wiem, że była ona autorowi filmu potrzebna jako alibi, jako ratunek przed własną odpowiedzią, jako ratunek dla wszystkich ludzi, którzy paragrafy prawa ustanawiali dla jakiegoś porządku świata i życia oraz... dla swej wygody.

W filmie Trzosa-Rastawieckiego interesują mnie natomiast bohaterowie dramatu, w ich losie, w ich przeżywaniu choroby i śmierci odnajduję tragiczną siłę człowieka. Temat śmierci i zachowania się ludzi w jej obliczu, to wystarczająco dużo. Podoba mi się w filmie „Skazany" to, że jego bohaterowie nie są wyjątkowi, że są autentycznymi ludźmi z ulicy, że przeżywając ich dramat mogę myśleć o tych, którzy są wokół mnie, o tym, jaka jestem sama. Mogę myśleć o sytuacjach, które dane było już przeżyć i o sytuacjach, które mogą nas czekać.

Podoba mi się w filmie „Skazany" to, że Ryszard Bielczyk jest nijakim człowiekiem, postacią bez osobowości i człowiekiem, który podjął decyzję, o której słuszności jednak wyrokować nie potrafię. W tym filmie w istnienie tego człowieka się wierzy, tak jak wierzy się w siłę i cierpienia jego brata. Gdyby Andrzej Trzos-Rastawiecki zwierzywszy swemu paradokumentalnemu, odkrywającemu życie prawdziwe, instynktowi do końca zaufał, gdyby, jeszcze nieco więcej uwagi postaciom obu braci poświęcił, byłby „Skazany" filmem jeszcze pełniejszych prawd. Tworząc ramę sądową z wielu wizerunków życia zrezygnował, ale, o czym była mowa wyżej, bez tej ramy swego filmu by nam chyba nie miał odwagi pokazać.

Choć temat po temu nie skłania, muszę wyrazić swe uznanie dla aktora, dzięki któremu film „Skazany" ma te walory, o których mowa. Nieznany szerokiej publiczności wrocławski aktor Zdzisław Kozień jest niezwykłym odkryciem reżysera filmu. Przy jego kreacji, która jest samym autentycznym byciem na ekranie, gra Wojciecha Pszoniaka, miejscami wstrząsająca, miejscami razić musi aktorska kokieteria, której nie zdołał opanować nawet Trzos-Rastawiecki, jeden z nielicznych naszych twórców, dla których materię kina stanowi niestylizowana rzeczywistość.

EWA NURCZYŃSKA

TEATR

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI „GARBUS"

Foto: J. Neugebauer

1.

„Sławomir Mrożek jest — z punktu widzenia stylu — kontynuatorem tego nurtu literackiego, który odnowiony został w okresie międzywojennym w twórczości Witolda Gombrowicza, a także Stanisława Dygata" — pisał Włodzierz Maciąg.

Stwierdzenie to posiada swoje daleko idące konsekwencje w konstatacjach gatunkowo-strukturalnych, kiedy określa się mianem groteski stylistykę twórczości Sławomira Mrożka. Groteska, czy groteskowość u niego, to przede wszystkim karykaturowanie świata, aby wybrane cechy ludzi i zjawisk potworniały i przyjmowały kształt wynaturzony.

„Sam język — pisał Włodzimierz Maciąg — **staje się przedmiotem satyrycznego przedrzeźniania, język jako twór konwencjonalny, a więc po części oderwany od zjawisk, które ma określać."** A więc świat kreowany przez Sławomira Mrożka jest światem ludzi-marionetek, poruszanych przez autora w mikrokosmosie absurdalnej rzeczywistości, gdzie prawdy są oderwane, gdzie funkcjonują sztuczne postawy i modele moralno-obyczajowe.

„Garbus" Sławomira Mrożka jest kontynuacją tego właśnie nurtu, najbardziej charakterystycznego dla jego teatru wyrosłego z twórczości satyryczno-parodystycznej. Jest także reprezentantem uniwersalistycznych zainteresowań S. Mrożka w odróżnieniu od nurtu „narodowego" wyrosłego z „Indyka" (1960), „Śmierci porucznika" (1963), „Tanga" (1964).

„Garbus" tak jak i inne utwory Sławomira Mrożka posługują się zdarzeniem dramatycznym niejednokrotnie zbanalizowanym, aby wyrazić ogólniejszą prawidłowość świata. Rzeczywistość, którą kreuje w „Garbusie" Sławomir Mrożek jest równie banalna.

Rzecz dzieje się w miejscowości letniskowej i obrazuje życie „wakacyjne" pełne tuzinkowych zdarzeń bezprzedmiotowej paplaniny. Ale w ten zbanalizowany mikrokosmos wprowadza S. Mrożek niepokój makrokosmosu. Zdarzenia polityczne atakują „letników" zarówno informacją, jak i bezpośrednią sytuacją. Odsłaniają się ludzkie postawy, moralne i polityczne tchórzostwo.

Postacie powołane do życia w tym określonym świecie tworzą zróżnicowaną strukturę społeczną o charakterze syntetycznym i symbolicznym. Ów syntetyzm u S. Mrożka nie jest tak silnie ujawniony, jak charakter symboliczny. Wiąże się on bezpośrednio z funkcją jaką postaci spełniają w sztuce. A w „Garbusie" wyrażają one idee i poglądy odbite w krzywym zwierciadle groteski, spotworniałe poprzez parodię strzępów rzeczywistości.

2.

Poza i założona sprzeczność między światem rzeczywistym a sparodiowanym, równoprawnie istniejącym w „Garbusie" uwiodła **Kazimierza Dejmka**, aby po niedawnej „Operetce" Witolda Gombrowicza sięgnąć do Sławomira Mrożka.

Przywołany na wstępie Witold Gombrowicz i jego „stylistyczny kontynuator" Sławomir Mrożek zjawili się obok siebie nieprzypadkowo. Zarówno u jednego jak i u drugiego znalazł Kazimierz Dejmek wykładnik teatru „steatralizowanego" teatru „otwartego". Dało to ogromne możliwości interpretacyjne i rozległe przestrzenie penetracji intelektualnej. Zabrakło jednak i u W. Gombrowicza i u S. Mrożka tego elementu, którym zawsze Kazimierz Dejmek fascynował, zabrakło owej dejmkowskiej formuły „teatru dla Polaków i o Polakach".

Zjawił się natomiast ów nurt uniwersalizmu, który cechuje warstwę symboliczną teatru groteski. Kazimierz Dejmek wyraził ją poprzez kompozycję przestrzeni scenicznej rodem z teatru mieszczańskiego, a scenograf **Andrzej Majewski** („Operetka") zabudował tę przestrzeń „operetkową" dekoracją przywołującą kicz zarówno w formie architektonicznej jak i w barwie, a uruchamiany zegar na owej budowli wskazywał nierzeczywisty upływ rzeczywistego czasu.

W tym samym stylu zaprojektowane były kostiumy przez **Jolantę Kunkel**, która posłużywszy się sugestiami Sławomira Mrożka poszła jeszcze dalej w umowny banał zdarzenia dramatycznego i jego dramatis personae. W tym dejmkowsko-mrożkowskim świecie silniej ujawniają się wykładniki idei i światopoglądu, który niesie z sobą sztuka. Jest ona u Kazimierza Dejmka protestem przeciwko konformizmowi występującemu pod różnymi postaciami, tak jak protestem przeciwko gombrowiczowskiej „gębie" była „Operetka".

3.

W świecie sztucznych idei: postaw pozornych prawd, w świecie stereotypu, banału i kiczu umieszcza Kazimierz Dejmek aktorów. Utrzymując stylistykę „operetki" obsadę konstruuje wprost (jak dobiera się głosy śpiewaków), kierując się zewnętrznymi predyspozycjami aktorskimi, aby stereotyp myślowy był poparty stereotypem rysunku syntetyzującego wybrane cechy ludzkie. W praktyce uzyskuje Kazimierz Dejmek zamierzony efekt przewagi przejaskrawionych naturalnych środków wyrazu, którymi w normalnym wymiarze posługuje się człowiek na co dzień, a wyrastają one z cech psychofizycznych każdego z aktorów. Odnosi się to przede wszystkim do **Barbary Krafftówny** (Onka), **Mieczysława Voita** (Baron), **Izabelli Pieńkowskiej** (Baronowa), **Leona Charewicza** (Student) i **Jana Kobuszewskiego** (Nieznajomy). Zwłaszcza Izabella Pieńkowska i Mieczysław Voit potraktowali postaci, przez siebie konstruowane, jako korespondencję z zadaniami realizowanymi w „Operetce". Jest to pewna modelowa struktura zachowań wyobrażeniowych, czysto zewnętrznych, w pełni oddająca ideę wyrażoną poprzez te postacie.

Inaczej nieco skonstruował swoją postać **Bogusław Sochnacki** (Garbus). Stosując także zewnętrzne środki (garb, sposób chodzenia na lekko ugiętych nogach — bardzo często aktor nadużywa tego środka i w innych sztukach) dorzuca Bogusław Sochnacki element niesamowitości i demonizmu. Uzyskuje go poprzez mimikę (spojrzenie, uśmiech, skrzywienie ust itp.) oraz rekwizyty związane z kostiumem.

Szczególną propozycją aktorską w spektaklu jest kreacja **Andrzeja Maya** (Onek). Na czym polega owa szczególność? Wydaje się, że na sposobie konstruowania postaci Onka, na znalezieniu takich środków wyrazu, które twórczo zaskakują, a jednocześnie osadzone są idealnie w poetyce spektaklu.

Andrzej May miał trudniejsze zadanie niż pozostali aktorzy, nie mógł „zagrać" wprost, albowiem typ ról, które dotychczas były jego udziałem określał gatunek aktorstwa Andrzeja Maya jednoznacznie: aktor do ról amantów. I nagle inne zadanie, zadanie pozostające w jawnym kontraście z konstrukcją psychofizyczną aktora, z jego dotychczas poznanymi środkami wyrazu. Zadanie trudne, ale, jak się okazuje, możliwe do wykonania i to jakiego!

Onek Sławomira Mrożka **„jest niski, okrągły, zażywny, rumiany i ruchliwy"**. Onek Andrzeja Maya jest w gruncie rzeczy taki sam, konformistyczny pragmatysta. Wchodzi w świat w „sportowym" garniturze w kratę, na głowie ma kaszkiet również „sportowy", pumpy, okulary.

Środki naturalne, którymi tak często operował Andrzej May, tu zostały wyeliminowane do koniecznego minimum. Zatriumfowały natomiast środki sztuczne, a więc komponowane, kreowane, powoływane „do życia" przez aktora (chodzi tu oczywiście o mimikę, gest i ruch sceniczny). Efekt który osiągnął Andrzej May, obdarzając Onka nerwowością w sposobie chodzenia, gestykulacji (nerwowy ruch poprawiania okularów, wciśnięta w ramiona głowa itp.) obrazuje konsekwencję twórczą i rozległe możliwości aktora.

Świat Sławomira Mrożka jest zaskakująco przewrotny, świat „Garbusa", który powołał Kazimierz Dejmek, tę przewrotność przyobleka w maskę teatralną, świat postaci budowany przez aktorów znajduje wymiar satyrycznego przedrzeźniania, aby wypowiedzieć prawdy pozostające w jawnej sprzeczności z charakterem postaci. I dlatego trudno się oprzeć mieszanym refleksjom, kiedy Onek mówi **„pan pod garbem nie widzi człowieka. Człowiek jest ważny i to, co w nim siedzi"**, żeby za chwilę usłyszeć z jego ust: **„garbaci są skryci, złośliwi, podstępni"**.

Ta świadoma sprzeczność stanowi artystyczny wykładnik „otwartości" zarówno dramatu S. Mrożka, jak i spektaklu K. Dejmka, a poprzez język jest także domeną aktorów. A ponieważ **„w sztuce aktora i osobowość twórcy, i materiał, i instrument, i samo dzieło sztuki złączone są organicznie w jednym i tym samym obiekcie i nie są w stanie oderwać się od siebie"**, to w tym wypadku owa sprzeczność zanika stając się również kategorią estetyczną.

Sławomir Mrożek „Garbus", reżyseria: Kazimierz Dejmek, dekoracje: Andrzej Majewski, kostiumy: Jolanta Kunkel, premiera na scenie Teatru Nowego dnia 14 grudnia 1975 r., premiera prasowa dnia 11 stycznia 1976 r.

PLASTYKA

JANINA ŁADNOWSKA AFIRMACJA CZY NEGACJA?

Geneza **„Systemów"** tkwi w całokształcie dotychczasowej twórczości **Zbigniewa Dłubaka.** Odnosi się do niej wypowiedź autora o funkcjonowaniu w sztuce postawy intelektualno-analitycznej, postawy właściwszej człowiekowi od ekspresyjno-emocjonalnej bo „chluba człowieka jest rozum, aparat kontroli i świadome działanie, zdolność analizowania, zdolność wyciągania wniosków wbrew instynktom i działanie wbrew instynktom". Wnioskiem jaki z tego wysnuwa jest to, iż **„Społeczna funkcja sztuki polega na wprowadzaniu do świadomości ludzkiej czynnika negacji, pozwala wątpić w nienaruszalność schematów i konwencji w sposobach ujmowania rzeczywistości".**

Malarstwo i fotografia są od początku twórczości Zbigniewa Dłubaka równorzędnym środkiem artystycznej wypowiedzi, uzupełniają się, nie będąc sobie wzajem podległe.

Właściwym początkiem twórczości autora są pochodzące z 1948 r. makroskopowe zdjęcia drobnych przedmiotów, do których zastosowany został zabieg przekroczenia granic czytelności, a także powiększenia skóry dłoni, włókien roślin, wody, które przybierają formę zjaw, postaci, embrionalnych tworów — nie przestając być obiektywnymi fotografiami przywołują skojarzenia poetyckie. Wiele z nich było ilustracjami do poematu Pabla Nerudy „Serce Magellana".

W początkach lat 50 fotografuje „nieefektowne" pejzaże wiejskie, ludzi, ulice — nieupiększone, zwięzłe, surowe, nie odpowiadające estetyce tamtych lat. Pisze wtedy o kompozycji fotograficznej jako o działaniu przedmiotu, nie zaś komponowaniu plam, brył i linii.

Cykle obrazów Zbigniewa Dłubaka **„Wojna"** i **„Macierzyństwo"** z lat 1955—57 z okresu działalności **„Grupy 55"**, jak też i prace innych artystów przynależnych do Grupy — przeciwstawiają się niepohamowanej ekspresji artystów wystawiających w tzw. **„Arsenale"** z okazji Festiwalu Młodzieży i Studentów w lecie 1955 r. Obrazy Dłubaka cechuje kompozycja poddana rygorom logiki, i konstrukcji. Formy są płaskie i gładkie, fragmenty fakturowe uporządkowane, ostre kolory zestawione są walorowo co powoduje charakterystyczną wibrację, nadaje obrazom przestrzenność chroniąc od „plakatowości". Obrazy odwołują się do treści wspólnych pokoleniu, dalekie są od afirmacji świata, odnoszą się do rozumu, nie do uczuć, każą widzowi dokonywać wysiłku intelektualnego dla rekonstrukcji zawartych metafor i symboli. Stanowią one początek drogi prowadzonej z uporem ku maksymalnemu oczyszczeniu formy i nasyceniu znaku.

Cykl **„Amonity"** kontynuowany był od 1957 do 1963 r. **„Amonity"** to skamieliny, pomniki istnień, obrazy, to aluzyjnie przedstawione zarysy kobiecych aktów. Forma, czasami trudna do odczytania, naszkicowana jest linią wynikłą z nawarstwienia farby, niekiedy lśniącej fosforycznym światłem. Ostatnie z „Amonitów" to już nie kompozycje określonych form, lecz jednolite struktury, jak sama skóra człowieka. Równolegle do **„Amonitów"** powstaje cykl fotograficzny **„Egzystencje"** — banalne przedmioty, wnętrza, akty, fragmenty aktów, mury, ślady czasu i działań ludzkich na przedmiotach.

Pochodzące z lat 1963—65 **„Antropolity"** to oszczędne w formie kompozycje, na których gładkich, najczęściej czerwonych powierzchniach szerokie pasy czarne lub w innym walorze znaczą swą drogę, przebiegając od brzegów do centrum, rozżarzeniem tła. Centrum obrazu ma stanowić apogeum napięcia, ale pasy nie stykają się nigdy.

Szczególnie długo kontynuowany był cykl **„Movensów"** (1965—1973). Cykl, w którym obraz „oczyszcza" się stopniowo z metafory na rzecz materializacji po-

Dalszy ciąg na str. 7

SPORT I POLITYKA

NIE JESTEM CASSIUS CLAY!

Nazwisko Muhammada Ali — relacje o walce którego z Georgem Foremanem drukowaliśmy w poprzednich numerach „Odgłosów" — bokserskiego mistrza świata w wadze ciężkiej doskonale znają bokserzy i miłośnicy tego sportu. Ale jest on mniej znany jako odważny krytyk amerykańskiej agresji w Wietnamie, przeciwnik wszelkiej dyskryminacji rasowej i obrońca praw Murzynów. W imię swych przekonań wolał więzienie niż walkę przeciwko Wietnamczykom. Opowiada o tym na stronach wydanej niedawno, interesującej książki autobiograficznej. Zamieszczamy z niej dwa fragmenty:

...W lutym 1966 roku w Miami już po raz trzeci szykowałem się do obrony tytułu mistrza świata w boksie w wadze ciężkiej. Moim przeciwnikiem był Arny Terrell nazywany „ośmiornicą": miał zwyczaj obejmowania przeciwników swymi długimi ramionami, próbując zmiękczyć ciosy.

Wyszedłem do ogródka otaczającego mały domek, który wynajęli dla mnie w murzyńskiej dzielnicy Miami biali finansiści — chrześcijanie, milionerzy z południowych stanów.

Nie wiedzieć skąd pojawił się korespondent telewizji i spytał co sądzę o tym, że lekarska komisja wojskowa w Louisville przesunęła mnie z kategorii 1-U do kategorii 1-A, i w tej sytuacji mogą mnie niezwłocznie powołać do wojska?

Odpowiedziałem:

— Nie kłócę się z Vietkongiem.

Gdy później zadali mi to samo pytanie odpowiedziałem, że „mogą mnie rozpytywać o wojnę w Wietnamie do samego wieczora, a ja odpowiem jedno: z Wietnamem nic mnie nie różni." Była to odpowiedź rymowana.

Oczywiście nie ograniczyłem się tylko do tych słów, mówiłem długo, ale wydawało mi się, że właśnie te słowa chciał ode mnie usłyszeć cały świat. Wydrukowano je w gazetach całej Ameryki i za oceanem, ich echo długie lata groźnie dźwięczało mi w uszach.

Kiedy przyjechałem do Miami myślałem tylko o czekającym mnie pojedynku z „ośmiornicą". Dlatego też nie przywiązywałem specjalnej wagi do wizyty korespondenta telewizji, niejakiego Roberta Hallorana, który odwiedził mnie pewnego wieczoru przynosząc wiadomość, która — jak powiedział — wywróci do góry nogami cały ośrodek treningowy:

— Od razu zapomnisz o Terrellu jak coś ci powiem.

Nachylił się do mnie i szepnął:

— Przez życzliwych mi ludzi z lekarskiej komisji wojskowej w Louisville dowiedziałem się, że jutro rano podadzą wiadomość o przesunięciu ciebie do kategorii 1-A.

— Mówili już o tym wcześniej, dlaczego więc właśnie teraz chcą to ogłosić?

— Masz zdrowie jak byk, dwadzieścia cztery lata i jesteś kawalerem. Twój rocznik idzie w pierwszej kolejności. Chcą cię powołać nim skończysz dwadzieścia sześć lat. Potem już im się to nie uda. Muszą znaleźć jakiś pretekst, żeby zatkać ci usta.

— Tak, ale dwukrotnie odpadłem na egzaminach dla poborowych. Trzeba zebrać siedemnaście punktów, ja miałem szesnaście.

— Wiem — potwierdził z miną człowieka, który wie więcej ode mnie. — Teraz zmniejszyli ilość punktów dla poborowych do piętnastu. Stwarza im to możliwość powołania ciebie do wojska.

— Odwołać z tego powodu walkę?

— Twoja walka nie ma z tym nic wspólnego. Dziś mamy 17 lutego. A pojedynek odbędzie się w Chicago 29 marca. Tak szybko tego nie załatwią, a potem...

Chociaż spodziewałem się powołania do wojska, to jednak teraz, kiedy stało się to realne, wydało mi się nieoczekiwanym ciosem. Wszystko, co wiedziałem o służbie wojskowej, wyniosłem ze szkoły: każda wojna, którą prowadzi Ameryka służy „wolności", „zabezpieczeniu demokracji na świecie", lub „ocaleniu świata". Gdyby mnie wtedy powołano do wojska — poszedłbym bez protestów. Ale dostatecznie wcześnie dostrzegłem różnicę w obrazie życia białych i czarnych. W Louisville wszystko podzielono według mierników rasowych, tu niezmiennie panuje duch starego niewolniczego Południa, w powietrzu czuć zapach doskonałej whisky i koni. Ów duch jest również charakterystyczny i dla moich finansistów, białych chrześcijan, milionerów z południowych stanów. Chcieli mnie „oczarować", nie zapominałem jednak, patrząc na ich postępki, że są częścią systemu, z którego chciałem się wyrwać...

Oświadczenie Muhammada Ali w radio i przed kamerami telewizji w Miami, w którym potępił wojnę w Wietnamie, **postawiło pod znakiem zapytania** jego spotkanie z Terrellem o tytuł mistrza świata. Komisja sportowa w Illinois postanowiła przesłuchać Muhammada Ali na specjalnym posiedzeniu i nakłonić go do odwołania oświadczenia złożonego w Miami. Pod naciskiem przyjaciół, jak również osób zainteresowanych w finalizacji spotkania (duży biznes) z Terrellem, Muhammad Ali zgodził się stanąć przed komisją i udał się na nią w towarzystwie swego adwokata.

...Wepchnęli nas do windy, a następnie wcisnęli na salę posiedzeń, mieszczącą się na jednym z najwyższych pięter gmachu. Wszystko to przypominało rozprawę sądową. Sądziłem, że złożę odpowiednie wyjaśnienia, siedząc przy okrągłym stole, w przyjaznej atmosferze, a w rzeczywistości członkowie komisji przypominali sąd najwyższy: siedzieli na wysokim podium i z góry patrzyli na podsądnego.

— Słyszałem, że chce pan założyć oświadczenie — zaczął przewodniczący Tryner.

Wstałem, w sali zapanowała cisza.

— A zatem, odczyta pan przygotowane oświadczenie? — powtórzył pytanie.

Mój adwokat podał mi jakąś kartkę, ale odłożyłem ją na bok.

— Nie — odparłem. — Nie mam żadnego przygotowanego oświadczenia. To co powiedziałem w Miami, powinienem powiedzieć pracownikom lekarskiej komisji wojskowej, a nie reporterom radia i telewizji. Żałuję, że pomyliłem się w adresie.

Zdumiony Tryner spoglądał to na mnie, to na adwokata. Członek komisji Joe Rybesho pochylił się do przodu, przerwał mi ruchem ręki i przeszedł do rzeczy:

— Nieważne do kogo pan adresował swoje słowa, ważna jest ich treść. Czy zamierza pan złożyć przeprosiny za to niepatriotyczne oświadczenie, niezależnie od tego komu pan je złożył?

Szykowałem się do odpowiedzi, kiedy poczułem trącenie w bok i usłyszałem natarczywy szept adwokata:

— Niech pan powie, że pan cofa swoje słowa, niech pan mówi...

— Cassiusie Clay — kontynuował komisarz sportowy, bardzo mocno akcentując moje stare, niewolnicze nazwisko — czy zamierza pan przeprosić naród amerykański, gubernatora tego stanu i mera tego miasta za swoje niepatriotyczne oświadczenie?

Moja kariera spoczywała w jego rękach, wiedział o tym i chciał, żebym to sobie dobrze uświadomił.

Adwokat trącając mnie w bok omal nie zepchnął mnie z krzesła... Tak bardzo chciał za mnie odpowiedzieć! Komisarz sportowy, niczym licytator przed ostatnim uderzeniem młotka, wykrzyknął:

— Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?!

— Nie, nie cofnę tego, co powiedziałem i nie będę przepraszać.

Na podium nastąpiła konsternacja. Sądziowskie grono spoglądało na adwokata. Jeden z członków komisji znów podjął:

— Cassiusie Clay...

— Nazywają mnie Muhammadem Ali — przerwałem mu.

Rękawica została rzucona i wyzwanie przyjąłem.

Członkowie komisji zaczęli się naradzać, ale wiedziałem już, że przesłuchanie jest zakończone. Wstałem i skierowałem się do wyjścia. Mój adwokat powstrzymywał mnie z całych sił i błagał półgłosem:

— Zatrzymaj się, wróć!

Ale posunąłem się już zbyt daleko, podobnie zresztą jak i strona przeciwna, żeby można zaczynać wszystko od nowa. Teraz albo pozostanę na wolności, albo zamkną mnie w więzieniu. Jeśli jest mi sądzone gnić w więzieniu — jestem gotów i na to.

Kiedy powróciłem do hotelu zatelefonował mój adwokat:

— Muhammadzie — powiedział — możemy jeszcze znaleźć wyjście z tej sytuacji.

— Nie pragnę tego.

— Na litość boską, wysłuchaj mnie. Komisja jeszcze nie głosowała. Mamy więc szansę. Miasto chce mieć to spotkanie u siebie, mer także. Jest im to potrzebne do podtrzymania prestiżu.

— Mam dużo spraw do załatwienia, i tak straciłem mnóstwo czasu...

— Niech pan poczeka — prosił. — Niech mnie pan wysłucha. Zrobimy tak: za kilka minut zwołam konferencję prasową i powiem dziennikarzom, że komisja zadawała panu niewłaściwe pytania. Powiem, że dopiero co telefonowałem do pana i dowiedziałem się, że pan w ogóle nie zrozumiał znaczenia niektórych słów. Na przykład słowa „patriotyczny". Powiem im, że pańska odpowiedź, jak by jej nie komentować, nie ma żadnego znaczenia, ponieważ pan w ogóle nie zna słowa „niepatriotyczny" i nigdy go pan nie słyszał. Zrozumiał mnie pan?

— Ale, panie mecenasie — powiedziałem spokojnie, starając się nie wrzeszczeć tak jak on — ja wiem co znaczy słowo „niepatriotyczny". Jeśli ono oznacza, że jestem przeciwny wojnie, to chcę być niepatriotyczny.

— Nie, pan nie chce! — krzyknął w odpowiedzi mój adwokat. — Przyjadę do pana i zastanowimy się nad tym jeszcze raz, przez telefon trudno to zrobić. Powiem panu o co chodzi, to wielka tajemnica. Zaraz będę u pana...

Kiedy przyjechał, mnie już nie było, wyszedłem.

Sprawa, którą nazwał „tajemnicą", przestała być tajemnicą. W jego telefonie umieszczono „pluskwę" — urządzenie podsłuchowe — i każde powiedziane przezeń słowo zostało nazajutrz wydrukowane w jednej z wrogich mi gazet...

CDN.

Foto: Archiwum

LISTY

„STAĆ NAS CHYBA NA WIĘCEJ"

Z dużym zainteresowaniem zabrałem się do czytania artykułu pt. „Stać nas chyba na więcej" w 4 numerze Odgłosów ze stycznia tego roku. W miarę jednak czytania mój entuzjazm znikał. Boleję oczywiście nad znikomym dorobkiem naszych łódzkich teatrów studenckich, nie to jednak skłoniło mnie do napisania tego listu.

Od wielu lat związany jestem bardzo ściśle z działalnością studenckich grup muzycznych w Łodzi, znam też problemy z jakimi spotykają się one na co dzień. Przykro mi, ale nie podzielam optymizmu autora — Pawła Tomaszewskiego — co do działalności Studenckiego Stowarzyszenia Jazzowego. Organizacja ta powstała rok temu, przejmując obowiązki komisji kultury zarządu łódzkiego SZSP i do jej obowiązków należy między innymi opieka nad grupami nieprofesjonalnymi, wywodzącymi się z łódzkiego środowiska studenckiego. Wyrazem tego był, jak dotąd, tylko przegląd grup muzycznych, co zresztą nie jest jedynie zasługą SSJ, takie przeglądy odbywały się i w latach ubiegłych. Impreza ta jest chyba formą samą w sobie, nie pociągnęła bowiem za sobą żadnych działań czy pozytywnych skutków. Nadal grupy studenckie, amatorskie nie mają możliwości do prezentowania swojego dorobku i prawie wszystkie kluby studenckie są dla nich zamknięte. Powodem tego jest fakt, że SSJ nie potrafi porozumieć się z kierownictwem klubów, nie nawiązuje z nimi współpracy. Natomiast zarządy klubów, mając na uwadze chyba tylko swoje korzyści i nie chcąc podejmować zbyt pracochłonnych zadań, prezentują w coraz większym stopniu wątpliwej wartości dyskoteki jako papkę, lekkostrawną i łatwą w realizacji formę „zabawiania" młodzieży.

Skoro jednak organizacja, jaką jest SSJ, powstała i prowadzona pod przewodnictwem prześwietnego Macieja Jaworskiego, ogłosiła i rozesłała rodzaj manifestu swojej działalności, powinna zgodnie z nim zająć się sprawami grup muzycznych wyrosłych ze środowiska studenckiego. Spotkałem się wiele razy z opinią, że grupy studenckie reprezentują zbyt mierny poziom artystyczny i wykonawczy, aby można było udostępnić im organizację występy w klubach studenckich, w wielu przypadkach to prawda. W jaki jednak sposób mogą być lepsze, skoro nie mają możliwości, aby podnosić swój poziom. Ogromne trudności z salami do prób i brak imprez, w których byłaby możliwość konfrontacji z odbiorcą, to tylko niektóre z problemów.

Grupa posiadająca weryfikację, potwierdzoną przez SSJ, nie może udać się do Stowarzyszenia po pomoc, ponieważ jej nie otrzyma. Tak jak wiele lat wstecz, kiedy ruch muzyczny, studencki powstawał, tak i obecnie musimy sami troszczyć się o swoje sprawy, zabiegać, a wręcz nieraz błagać kierowników klubów, aby pozwolili nam łaskawie na odbywanie prób, a jeżeli nawet otrzymamy zgodę, to wcale nie znaczy, że będziemy mogli „sprzedać" swoje osiągnięcia przed publicznością.

Czyżby to był znak, że forma muzyki żywej stała się bezużyteczna, niepotrzebna, czyżby ustąpić miała na rzecz panoszących się wszędzie dyskotek, produkujących gusty na przykładzie nieraz bardzo słabej i mało ambitnej muzyki?

Z tych to powodów z przykrością przeczytałem artykuł Pawła Tomaszewskiego nobilitujący działalność SSJ, jako organizacji, która przyczynia się do ożywienia działalności artystycznej.

KRZYSZTOF ROSIŃSKI
(Łódź)

„ŚWIŃSKI PROBLEM W PARZĘCZEWIE"

Przeczytałem reportaż R. Binkowskiego i nasunęła mi się między innymi taka uwaga.

W gospodarce rolnej nie ma miejsca na „jakoś to będzie". Wszystko musi się zgadzać ze zdrowym rozumem i wymaga rzetelnej pracy. Spółdzielnia Rolnicza w Parzęczewie wydaje mi się być tworzona dychawicznie. Co właściwie ci ludzie wnoszą do spółdzielni? Chęć dobrej sprzedaży budynków, rolniczego sprzętu, a może i ziemi. To trochę za mało, żeby chować świnie na przemysłową skalę.

Jest blisko Parzęczewa dobra Spółdzielnia Produkcyjna w Dąbrówce k. Zgierza. Nie produkuje się tam świńskiego żywca po 40 zł kg i dlatego do tej spółdzielni ludzie w ogonku czekają, żeby ich przyjęto na członków, choć dobrze wiedzą, że tam trzeba pracować jak na swoim. Parzęczew oparty jest na mglistych przesłankach i nie wyrośnie tam chyba nic dobrego.

JAN WOŹNIACKI
(Andrzejów k Łodzi)

PLASTYKA

AFIRMACJA CZY NEGACJA?

Dalszy ciąg ze str. 6

ję elementarnych: ruchu, napięcia, przestrzeni, zmiany. Na kolorowych powierzchniach o idealnym nasyceniu pojawiają się pasy w kolorach kontrastowych. Pasy są proste, lub ugięte, jednolite, lub przerywające się, jakby wystrzępione, zanikające. Ich obecność stwarza poczucie napięcia, niepewności, ostra wibracja kolorystyczna doprowadza do gwałtownych wyładowań.

Sumą doświadczeń artystycznych tego okresu była zaaranżowana w 1967 r. **„Ikonosfera 1"**. Wyszła ona poza tradycyjne zasady eksponowania fotografii. **„Ikonosfera 1"** tworzyła rodzaj labiryntu. Początek stanowiły idealizowane zdjęcia aktów i ich fragmentów, poetyckie, piękne, budzące skojarzenia z rozległymi pejzażami. Centrum było to wnętrze o ścianach szczelnie wypełnione przemieszanymi, nieprostowanymi, nalepionymi górnym brzegiem zdjęciami zwykłych przedmiotów, i suchych „nieciekawych" aktów. Zamknięciem labiryntu były ślady — fotografie aktów otrzymywane wprost na światłoczułym papierze i ruchome zdjęcie zamykającej się i otwierającej ręki w kolorze czerwonym i zielonym. Autor odciął się tu od poetyckiej wrażliwości zdjęć stanowiącej początek **„Ikonosfery 1"**, na rzecz „egzystencji" przedmiotu i człowieka, zwykłej pozbawionej konwencjonalnego piękna.

KLUB KRYTYKI PLASTYCZNEJ

Konsekwencją tej postawy okazała się **„Ikonosfera 2"** wciągająca widza w przestrzeń, do której może wejść otwierając „drzwi". Przestrzeń została dokładnie wypełniona kilkudziesięcioma jednakowymi zdjęciami fragmentu aktu, a zamknięta wielkim powiększeniem skóry. Obie **„Ikonosfery"** zrodziła myśl o wszechobecności obrazów, dominacji obrazów, kształtowaniu uczuć, wyobraźni przez obrazy.

W 1970 r. **Zbigniew Dłubak** wraz z **Natalią Lach-Lachowicz** i **Andrzejem Lachowiczem** projektują na Sympozjum Plastyczne **„Wrocław 70"** zespół instrumentów optycznych **„Relop"** — dla podważenia popularnego przekonania iż widok bywa tożsamy z przedmiotem. To podawanie w wątpliwość tożsamości widoku z przedmiotem najjaśniej unaocznił Dłubak w **„Tautologiach"** w 1971 r. Fotografowane „chłodnym okiem" zdjęcia przedmiotów (pudełko, kaloryfer, gaśnica) umieszczone obok „modeli" ukazywały myśl, że nawet najwierniejsze odwzorowanie nie zatrze różnicy między sztuką a nie sztuką.

Praca nad prezentowanymi obecnie **„Gestykulacjami"** rozpoczęta została w 1971 r., zaś nad obrazami z cyklu **„Systemy"** w 1973 r. W tym przypadku obrazy i fotografie stanowią szczególnie komplementarną całość. **„Systemy"** — obrazy o jednolitych tłach są tłem dla pasów wybiegających od jej górnej i dolnej krawędzi ku środkowi, w pewnym momencie osiągających kulminacyjny moment wzajemnego oddziaływania, aby potem zniknąć w tle. Wzajemna zależność, zmienność pasów — „morfemów", czasem niedostrzegalne pozornie zmiany, które w konsekwencji nieubłaganych przeobrażeń, prowadzą do istotnych przemieszczeń, — to sens i zasada tych obrazów. W **„Gestykulacjach"** i **„Torsach"** podobną rolę spełniają poszczególne fazy ruchu rąk i ciała. Jak pisze autor jest to „quasi—gramatyka", chwila zastanowienia się nad sztuką samą, nad jej grą, wyłączając wszelki element ekspresji, estetyzowania, podanie jej w wątpliwość, refleksja nad jej możliwością. Wyrażenie sztuki drogą samego jej istnienia i funkcjonowania.

„...umysł ludzki — pisze autor — **ma (...) skłonność do samokontroli i w tym działaniu czynnikiem najbardziej bezinteresownym, funkcjonującym jako wyabstrahowana zasada wątpliwości i negacji, jest sztuka".**

Wątpienie i negacja rodzą myśl.

JANINA ŁADNOWSKA

ZDROWIE

TRAGICZNY ZAPIS

Dalszy ciąg ze str. 5

To prawda, że pierwsze wezwania Jana D. nie były alarmujące. Kiedy pytano go, czy chora jest w ciąży, bo taki jest stereotyp wywiadu w przypadkach dotyczących kobiet, nic o tym nie wspomniał. Prawdą jest jednak, że lekarka — dyżurna — Barbara S., z którą przeprowadził dramatyczną rozmowę, po przyjęciu reklamacji wyszła z budynku pogotowia, ponieważ o 14 kończyła pracę. Przesłuchana przez prokuratora powiedziała:

— Pamiętam, że mąż chorej mówił mi, że żonę bolał brzuch, po kroplach podanych dwukrotnie ból przeszedł, a potem znowu wrócił i że żona umiera. Spytałam wtedy, o co zwykle dowiaduję się w takiej sytuacji, czy umiera z bólu, czy naprawdę. Ludzie często wyrażają się nieściśle, mówiąc — „umiera" — mają na myśli nasilenie bólu. Jan D. odpowiedział, że chyba umiera naprawdę, mówił, że jest sina, lub sztywna — nie pamiętam dokładnie. I to mnie zaniepokoiło. Poinformowałam go, że karetka zaraz wyjedzie. Zlecenia nie musiałam wydawać, bo należało to do obowiązku telefonistki, która łączyła mnie z rozmówcą.

Innego zdania na ten temat byli jednak zwierzchnicy lekarza dyżurnego. W piśmie Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi, skierowanym do prokuratury czytamy m. in.:

„Szczegółowa analiza biura wezwań Stacji Pogotowia oraz protokołów zeznań świadków wskazuje na to, iż po otrzymaniu wezwania i reklamacji męża chorej Barbary D. istniały możliwości skierowania do niej zespołu wyjazdowego z lekarzem w celu przyspieszenia udzielenia pomocy. Wymagało to podjęcia przez starszego lekarza biura wezwań Stacji — Barbarę S. ryzyka decyzji wysłania zespołu wypadkowego lub kardiologicznego, a nie przetrzymywania ich do konkretnego wypadku ulicznego, czy ataku serca. Można też było w drodze wyjątku uruchomić zespół bez lekarza i przewieźć chorą bezpośrednio do szpitala rejonowego".

Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej informuje jednocześnie, że sprawę lekarza Barbary S. kieruje do rozpatrzenia przez Rzecznika Dobra Służby Zdrowia oraz Okręgową Komisję Kontroli Zawodowej.

Po trwającym blisko siedem miesięcy śledztwie Prokurator Rejonowy dla dzielnicy Łódź-Polesie 27 listopada 1975 r. wydał decyzję o umorzeniu sprawy, dotyczącej nieumyślnego spowodowania śmierci Barbary D. wobec nie stwierdzenia przestępstwa. W uzasadnieniu tej decyzji czytamy m.in.:

„Jak wynika z zebranego materiału dowodowego oraz z oceny Wydziału Zdrowia Urzędu Miasta Łodzi starszy lekarz dyżurny już bezpośrednio po rozmowie z Janem D. powinien skierować do jego żony jeden z zespołów specjalistycznych, lub zorganizować wyjazd bez lekarza celem przewiezienia chorej do odpowiedniego szpitala. Brak jest jednak danych, pozwalających na przyjęcie, że wtedy jeszcze życie Barbary D. mogło zostać uratowane. Po przeprowadzonej analizie materiałów dowodowych i przy uwzględnieniu wyników sekcji zwłok biegli lekarze nie mogą bowiem stwierdzić, czy około godz. 14,00 Barbara D. jeszcze żyła. Wyklucza to możliwość przyjęcia, iż zachowanie starszego lekarza dyżurnego pozostaje w związku przyczynowym ze śmiercią Barbary D., co jest konieczne dla stwierdzenia przestępstwa z art. 152 k.k. Brak jest natomiast podstaw do przedstawienia lekarzowi dyżurnemu zarzutu popełnienia innego przestępstwa. W tej sytuacji odpowiedzialność Barbary S. może być rozważana jedynie przez nadzór służbowy".

Tyle fakty. Władze służby zdrowia wyciągną z nich właściwe wnioski. Taką mamy przynajmniej nadzieję. Ale rzecz przecież nie tylko w tym, czy i jak zmierzy się winę, uzna się naruszenie etyki zawodowej oraz obowiązków służbowych. Rzecz ma też swoją wymowę społeczną. Ludzie z całą ufnością odnoszą się do lekarzy, do pracowników służby zdrowia, wierząc, że ci przyjdą im z pomocą. Powierzają innym ludziom to, co mają najcenniejszego — zdrowie, życie swoje i swoich bliskich. Pozostaje więc już sprawą sumienia tych, którzy podejmują się służenia innym, jak z tych obowiązków wywiązują się. Nie chcemy uogólniać pojedynczego wypadku, byłoby to niesprawiedliwe i społecznie szkodliwe, ale nie mniej społeczeństwo musi być pewne, że takie wypadki nie będą się zdarzały.

HALINA STĘPLÓWNA

PROBLEMY

Foto: Z. Czyż

NIE CHCĄ SŁYSZEĆ O POGODNEJ JESIENI

Dalszy ciąg ze str. 1

chcą nadal być jego aktywnymi członkami, aktywnymi na miarę swoich możliwości i potrzeb.

I

Warunki życia ludzi, którzy przekroczyli pewną granicę wieku, stały się problemem społecznym. W społeczno-gospodarczej polityce partii wiele uwagi poświęca się ludziom starszym.

W referacie wygłoszonym na VII Zjeździe PZPR I sekretarz KC — Edward Gierek powiedział między innymi:

„Zakładamy przede wszystkim dalszy wzrost płac najniższych. Będziemy konsekwentnie realizować uchwały XII Plenum Komitetu Centralnego naszej partii w sprawie podwyższania emerytur i rent. Podwyżka ta, zapoczątkowana w 1974 roku, przebiegać będzie etapami do roku 1980; wpłynie ona na dalszą poprawę świadczeń emerytalnych i rent. Rozszerzać także będziemy inne formy opieki nad emerytami oraz zwiększać liczbę miejsc w domach opieki społecznej. W 1980 roku liczba emerytów sięgnie 4 mln. osób. Nie będziemy więc szczędzić wysiłków, aby zmniejszyć rozpiętość między warunkami życia i możliwościami aktywności społecznej ludzi pracujących zawodowo i pozostających na emeryturze."

Partia nakreśliła ogólny kierunek działania, przyjmując jako zasadę troskę o warunki życia ludzi starszych wiekiem. Postawiono zadanie stopniowego zapewniania ludziom starym i schorowanym coraz lepszych warunków do dalszego życia. Nie jest to jednak zadanie łatwe, już choćby dlatego, że rosnąć będzie liczba ludzi, którzy przekroczą granicę wieku produkcyjnego, a zapewnienie im warunków spokojnego odpoczynku nie sprowadza się tylko do regularnego wypłacania odpowiednio wysokiej renty. Zapewnić im trzeba również opiekę na wypadek samotnej i niedołężnej starości, pozostałym należytą i w miarę systematyczną opiekę lekarską, a także warunki, w których proporcjonalnie do ich możliwości mogliby być społecznie aktywni.

Jeśli w **1970 roku** było w Polsce 32,6 miliona obywateli w różnym wieku, to ludzie, którzy ukończyli 60 lat stanowili 4,6 proc., 65 lat — 3,5 proc., 70 i więcej — 4,8 procent wszystkich mieszkańców Polski, w **1974 roku** ludzie w wieku powyżej 65 lat stanowili 3,8 proc., a ludzie w wieku powyżej 70 lat — 5,6 procent. **Prognoza GUS** na lata 1980 — 2000 zakłada dalszy wzrost grupy ludzi w wieku podeszłym. Posłużę się tylko dwoma porównaniami. W ubiegłym roku było u nas ludzi w wieku 65—69 lat 1 297,1 tys., a w wieku powyżej 70 lat — 1 893,9 tys. W roku 1995 ludzi w wieku 65—69 lat ma być około 1,7 miliona. Natomiast gwałtownie wzrośnie ilość ludzi w wieku powyżej 70 lat. I tak GUS zakłada, że w 1995 roku będzie ich około 2,7 miliona, a w 2000 roku — około 3,2 miliona.

Wniosek z tych porównań prosty: rozwój medycyny, ochrony zdrowia, poprawa warunków mieszkaniowych, pracy i życia przyczynią się do tego, że ludzie będą żyć dłużej i będą chcieli dłużej czynnie uczestniczyć w otaczającym ich życiu. Można sobie powiedzieć dla uspokojenia, że rok 1995, a tym bardziej rok 2000 jeszcze daleko, więc nie ma się co tym wszystkim przejmować. Ale wszystko to wygląda trochę inaczej, jeśli uświadomimy sobie, że ta pięciolatka kończy się w 1980 roku, a po dwóch następnych do roku 2000 zostanie już tylko 10 lat. Warto zatem już dziś zastanowić się nad tym, jak z o r g a n i z o w a ć życie ludziom starym.

II

Użyłam właściwego słowa, nie ma w tym żadnej pomyłki. Chodzi mi bowiem o **organizację życia ludzi starych.** Od pierwszych dni każdy z nas zaczyna swoje życie w rodzinie, wśród ludzi, którzy najpierw są mu życzliwi, niosą pomoc i opiekę, służą radą i nauką. Człowiek wzrasta przez długie lata wśród rówieśników, obraca się w organizacjach, grupach nieformalnych, aby w swoim życiu dorosłym dobrać sobie przyjaciół i kolegów z pracy. Przez cały czas żyje w otoczeniu ludzi życzliwych mu i wrogich, dzieli z nimi swoje radości, smutki, sukcesy i klęski. Aż pewnego dnia — staje przed **problemem samotności.** W pracy pożegnano go uroczyście, podziękowano za wiele lat służby, wspomniano życzliwie zasługi. Z domu dzieci dawno wyfrunęły w świat, pozakładały rodziny i mają teraz swoje sprawy, kłopoty, zmartwienia i radości, choć pewnego dnia cała historia powtórzy się i one również staną wobec problemu samotności. I ten moment w życiu człowieka jest najtrudniejszy, czasem smutny tylko, a czasem wręcz tragiczny.

Staramy się jak możemy osładzać ludziom samotność. Harcerze pomagają staruszkom. Pomoc niosą sąsiedzi. Tworzy się rodziny zastępcze. Buduje się — chociaż wciąż jeszcze mało — domy rencisty, domy pomocy społecznej, domy dla przewlekle chorych. I jest to wszystko niezbędne. Ale to wszystko nie rozwiązuje najważniejszego problemu: a d a p t a c j i ludzi, którzy zakończyli czynne życie produkcyjne, do nowych społecznych warunków, w jakich się nagle znaleźli. Nie daje ludziom którzy mają nadmiar wolnego czasu właściwych możliwości spożytkowania tego czasu. A że problem już dziś jest istotny, niech dowodem będzie fakt, że wśród uczestników różnych spotkań prelekcji, odczytów i innych imprez organizowanych w domach kultury, świetlicach, klubach przeważają słuchacze i widzowie w starszym wieku. Dowodem niech będzie popularność, jaką cieszą się tzw. domy dziennego pobytu przeznaczone dla samotnych ludzi w starszym wieku.

Trzeba nadal budować domy dla rencistów, domy pomocy społecznej, domy opieki dla ludzi niedołężnych, ale jednocześnie trzeba szukać **innych form adaptacji ludzi starych.** Jednych bowiem życie zmusi do przebywania wśród innych, podobnie doświadczonych przez życie. Inni będą chcieli móc uczestniczyć w różnych formach normalnego życia społecznego. I o tym też trzeba pamiętać.

III

Odwiedziłam **dom przy ulicy Tatrzańskiej.** Przed wieżowcem dwa wyrzeźbione w kamieniu gołębie. Jest tu 136 mieszkań, a w nich 200 osób. Jest portier i stała opieka pielęgniarki. Raz na dwa tygodnie przychodzi lekarz. Dom należy do **RSM „Bawełna"**, a jego mieszkańcy są członkami tej spółdzielni, posiadając bądź to mieszkania własnościowe, bądź mieszkania typu lokatorskiego. Najstarsza mieszkanka liczy 96 lat. Najwięcej jest osób w wieku od 50 do 65 lat. Wielu mieszkańców domu przy ulicy Tatrzańskiej jeszcze pracuje.

— Nie chcemy, aby nasz dom nazywano „domem pogodnej jesieni" — mówiono mi — bo nie starość nas tu sprowadziła, a potrzeba spokoju, ciszy i pomocy w wypadku choroby.

Dom przy ul. Tatrzańskiej żyje własnym życiem. Odbywają się tu spotkania, organizuje się gimnastykę rekreacyjną dla kobiet, mieszkańcy poszczególnych pięter prowadzą ożywione życie towarzyskie, był bal sylwestrowy, są wieczorki i różne imprezy, a latem szykuje się... ślub.

Na zewnątrz jest to taki sam blok jak wiele innych, wewnątrz — na pierwszy rzut oka — solidnie wykończony i wyposażony. Ale przecież nie to stanowi o jego istocie. W domu przy ul. Tatrzańskiej udało się stworzyć solidną i trwałą więź pomiędzy jego mieszkańcami. Udało się stworzyć to, czego brakuje w innych blokach, a co jest tak bardzo potrzebne ludziom, którzy mają nadmiar wolnego czasu, bo przestali już pracować.

Czym jeszcze różni się dom przy ulicy Tatrzańskiej od innych? Czy tylko tym, że jego mieszkańcy przekroczyli pewną granicę wieku? Tym też, ale to różnica jedynie formalna. W bloku, przed którym stoją dwa wyrzeźbione w kamieniu gołębie mieszkają starsze małżeństwa, ludzie samotni, córki w starszym wieku ze swoimi starymi matkami. Tacy ludzie mieszkają też wśród nas, niemal w każdym nowym bloku. Różnica polega jedynie na tym, że w każdym innym bloku czują się samotnie. Tym, którzy już nie pracują pozostaje wyglądanie oknem, nasłuchiwanie, co dzieje się w innych mieszkaniach, gdyż nadmiernie akustyczne ściany przenoszą doskonale dźwięki, pozostaje czytanie, spacer, oglądanie telewizji. Tym, którzy jeszcze pracują — samotne wieczory.

Tego wszystkiego nie ma w domu przy ulicy Tatrzańskiej. Tutaj bowiem udało się stworzyć coś, co jest więcej niż życiem towarzyskim, udało się stworzyć mini **środowisko,** udało się **miejsce zamieszkania przekształcić w miejsce życia.** I to jest bardzo ważne.

IV

W Łodzi są dwa takie domy. Drugi dom należy do **RSM „Lokator".** Podobny dom jest w Poznaniu. W Warszawie wybudowano dom dla starszych wiekiem naukowców. Takie i podobne domy wybuduje się w najbliższych latach w **Łodzi** (na Widzewie Wschód), Bydgoszczy, Częstochowie, Białymstoku, Lublinie, Miechowie, Wrześni, Wrocławiu i Warszawie.

Jest to niewątpliwie działalność godna poparcia i rozwijania, ale przecież wszystkich ludzi samotnych i starych nie umieścimy w takich domach. Byłoby to niemożliwe i niepotrzebne. Takie domy, jak ten przy ul. Tatrzańskiej, to j e d n a z form działania. Trzeba też szukać **innych.** Nie zapominać o tych starszych i samotnych ludziach, którzy mieszkają wśród nas.

BOGDA MADEJ

Foto: A. Dębowski

U PRZYJACIÓŁ

NRD posiada gęstą sieć bibliotek, punktów i klubów czytelniczych; prowadzone są masowe akcje upowszechnieniowe. Np. Berlin posiada 47 bibliotek publicznych dla dorosłych, 44 dla dzieci i młodzieży oraz bogatą sieć placówek o profilu mieszanym. W ub. roku przekazano do użytku dwie nowe biblioteki. Największą i najnowocześniejszą jest Państwowa Biblioteka im. Pablo Nerudy, dysponująca księgozbiorem ponad 100 tys. woluminów. W sumie berlińskie biblioteki oferują ponad 200 tys. stałych czytelników księgozbiór składający się z 1,5 mln tomów.

W niektórych bibliotekach w NRD znajdują się wypożyczalnie płyt gramofonowych. Np. biblioteka im. Cariagale posiada 2 tys. płyt, bogaty zbiór nut i literatury muzycznej. Młodych czytelników zachęca się do stałego kontaktu z książką, organizując przy bibliotekach kluby literatury, kółka zainteresowań czytelniczych, itp.

* * *

Z ciekawą inicjatywą wystąpił Związek Pisarzy Bułgarskich, w celu zachęcenia ludzi pióra do podejmowania tematyki współczesnej. ZPB zawarł porozumienie o współpracy z organami partyjnymi i państwowymi we wszystkich okręgach kraju, w celu dopomożenia literatom w poznaniu żywotnych problemów współczesności. Wielu pisarzy dzięki tej inicjatywie podpisało umowy z władzami okręgów, które gwarantują autorom odpowiednie warunki do poznania interesujących ich problemów. Pisarze natomiast zobowiązują się do napisania utworów o tematyce współczesnej.

Plonem takich pisarskich penetracji jest już wiele książek. Dla przykładu powieść Pawła Wieżinowa „Nocą na białych koniach" ukazująca życie współczesnego środowiska naukowego, książki Diko Fuczedzijewa lub Władimira Zariewa powieść o życiu budowniczych elektrowni atomowej pt. „Dzień niecierpliwości".

* * *

Już wkrótce na półkach księgarń Kraju Rad ukaże się „Encyklopedia Lermontowska". Zawierać ona będzie ponad 2000 haseł — informacji biograficznych, artykułów poświęconych twórczości poety, jego poglądom filozoficznym i estetycznym. Znajdą się w niej również reprodukcje rysunków i obrazów Lermontowa, portretów poety a także widoki miejsc związanych z jego osobą. Tom opracowało ponad 200 historyków literatury, historyków archiwistów i innych specjalistów.

Jak stwierdza przewodniczący komitetu redakcyjnego encyklopedii prof. W. Manujew przygotowanie dzieła wymagało 15 lat mozolnych prac badawczych. Trud ten pozwolił na odkrycie nowych, nieznanych dotąd faktów z życia wielkiego poety.

* * *

W dniu 75 rocznicy urodzin znanego radzieckiego reżysera Michała Romma odbyła się w Moskwie premiera jego ostatniego filmu „A jednak wierzę". Filmu tego artysta nie zdążył ukończyć, zmarł w 1971 r. podczas jego montażu. Ostateczną wersję dzieła przygotowali reżyserzy E. Klimow i M. Chucijew.

O filmie i jego twórcy pisze na łamach „Literaturnoj Gaziety" S. Gierasimow: „Film oparty jest w zdecydowanej większości na materiałach archiwalnych, jest próbą znalezienia odpowiedzi na problemy nurtujące ludzkość. Chcąc zdobyć kadry najlepiej odpowiadające przyjętej koncepcji twórczej Romm przejrzał tysiące kilometrów taśmy filmowej. Chciał aby to był film o naszym wieku, o paradoksach epoki samochodów, lodówek, sztucznych tworzyw, robotów i statków kosmicznych. Razem z operatorem Germanem Ławrowem odwiedził wiele krajów, przeprowadził wiele wywiadów. Był wspaniałym rozmówcą; nigdy nie przytłaczał swoich partnerów erudycją i dlatego uzyskiwał swobodne i szczere wypowiedzi. Umiał zawsze zaostrzyć polemiczną rozmowę, nie znosił natomiast gotowych, wygładzonych formułek".

* * *

Duże jest zainteresowanie polskim filmem na świecie. Do widzów zagranicznych w 44 krajach trafiły 84 pozycje fabularne i 450 krótkometrażówek. Najbardziej korzystne efekty finansowe przyniosły filmy „Potop", „Chłopi", „W pustyni i w puszczy", i „Ziemia obiecana". Spośród krajów socjalistycznych najwięcej polskich filmów zakupiono do NRD — 20, Czechosłowacji — 17 i Węgier — 14. Spośród odbiorców krótkiego metrażu na pierwszym miejscu znajdują się Węgry i NRD.

(ab)

W IMIĘ WIELKIEJ SPRAWY

Codzienna, uparta i konsekwentna realizacja Programu Pokoju nakreślonego na XXIV Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego spotyka się z wysoką oceną wszystkich postępowych sił na świecie. W wyniku nieustannych inicjatyw Związku Radzieckiego zmierzających do wybawienia ludzkości od groźby wojny, zawarto szereg dwustronnych i wielostronnych umów i porozumień, które w takim lub innym stopniu, sprzyjają ograniczaniu wyścigu zbrojeń, a w perspektywie — idei powszechnego rozbrojenia.

Program Pokoju wypływa z obiektywnej, naukowej oceny sytuacji międzynarodowej i został umocniony znaczącymi inicjatywami w polityce zagranicznej innych krajów naszego obozu.

Można bez przesady powiedzieć, iż postawione w tym Programie najważniejsze zadania dotyczą losów całej ludzkości. Zadania te zostały wykonane, warunkując widoczny postęp w rozwiązywaniu tak złożonego problemu, jakim jest stopniowe ograniczanie wyścigu zbrojeń. Niemniej wiele trudnych zagadnień rozbrojenia wymaga jeszcze rozwiązania i jest to najbardziej pilne zadanie współczesności.

Od chwili powstania pierwszego państwa socjalistycznego dążenie do zapewnienia trwałego pokoju na świecie, walka o ograniczenie zbrojeń i rozbrojenie były zawsze, i są nadal, najważniejszym zadaniem polityki zagranicznej socjalizmu. Poczynając od Dekretu o Pokoju, poprzez Program Pokoju nakreślony na XXIV Zjeździe KPZR, aż po XXX sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ długim łańcuchem ciągną się radzieckie propozycje i inicjatywy zmierzające do zapobieżenia wojnie, do ograniczenia wyścigu zbrojeń i rozbrojenia.

Jednocześnie ze wzrostem ekonomicznej, politycznej i wojskowej potęgi Związku Radzieckiego, w tym również pozostałych krajów wspólnoty socjalistycznej, na arenie międzynarodowej następuje zwrot od „zimnej wojny" do odprężenia oraz równocześny proces umacniania się w stosunkach międzynarodowych zasad pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach społecznych. **Wbrew oporowi sił imperialistycznych, odprężenie stało się tendencją światowego rozwoju.** Świadczą o tym pozytywne zmiany w stosunkach między największymi potęgami świata — Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi, zawarcie porozumienia o bezpieczeństwie i współpracy w Europie. Teraz — pisze D. Ernst, polityczny komentator berlińskiego miesięcznika „Deutsche Aussenpolitik" — zadanie polega na tym, żeby poprzez określone posunięcia skonkretyzować odprężenie i tym samym pogłębić ten proces, czyniąc go nieodwracalnym.

Siły wrogie odprężeniu uruchamiają szeroki wachlarz środków, usiłując podważyć skutki pozytywnych przemian zachodzących w świecie. Dlatego też w ślad za odprężeniem politycznym nie nadąża odprężenie militarne.

Istnieje jednak szereg przesłanek sprzyjających sprawie odprężenia w dziedzinie wojskowej. **Ważnym czynnikiem jest potężny militarny potencjał Związku Radzieckiego, co zmusza Zachód do uznania faktu zmieniającego się stosunku sił w świecie i co za tym idzie — do prowadzenia polityki bardziej realistycznej.** Nie ulega również wątpliwości, iż opracowywaniu praktycznych posunięć w dziedzinie ograniczenia zbrojeń i rozbrojenia sprzyja i to, że niepohamowany wzrost wydatków wojskowych staje się nadmiernym ciężarem nawet dla wysokorozwiniętych przemysłowo krajów kapitalistycznych. Przywódcy świata zachodniego mówią coraz częściej o fiasku koncepcji J. F. Dullesa: „rozsadzeniu ekonomicznej równowagi" Związku Radzieckiego drogą narzucenia mu wyścigu zbrojeń. Będąc już przy tym dodajmy nawiasem, że i „zimna wojna", która tyle pieniędzy kosztowała amerykańskich podatników i wyrządziła mnóstwo szkód narodom wielu innych krajów także zakończyła się fiaskiem. Musiał to przyznać autor „polityki odstraszania" i architekt „balansowania na krawędzi wojny" — właśnie J. F. Dulles, wyznając przed śmiercią, że pomylił się zarówno w zakreśleniu celów, jak i w wyborze środków do jego urzeczywistnienia.

Istotnym punktem wyjścia w rozmowach o ograniczeniu zbrojeń i rozbrojeniu jest zasada bezpieczeństwa każdego państwa, a zatem w wyniku podpisania takiego porozumienia nie może zaistnieć jakikolwiek element zmiany militarnego stosunku sił. Dlatego też na posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego Państw-Stron Układu Warszawskiego, w kwietniu 1974 roku, wskazano wyraźnie, że dopóki istnieje blok NATO i nie urzeczywistniono efektywnych posunięć w rozbrojeniu, kraje Układu Warszawskiego uznają za konieczne umacnianie własnej obronności i ścisłą współpracę w tej dziedzinie.

Program Pokoju przyjęty na XXIV Zjeździe KPZR dał impuls do podjęcia kroków w kierunku ograniczenia zbrojeń i rozbrojenia. Do stopniowego rozwiązania tego zagadnienia zmierzają liczne inicjatywy Związku Radzieckiego. I tak, na propozycję ZSRR XXVII sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ przyjęła w 1972 roku rezolucję (głosowały przeciwko niej tylko 4 państwa: ChRL, Albania, RPA i salazarowska wówczas Portugalia), w której państwa członkowskie Organizacji Narodów Zjednoczonych wzywają do wyrzeczenia się raz na zawsze użycia siły w stosunkach międzynarodowych oraz do zakazu użycia broni jądrowej. W 1973 roku, podczas pobytu generalnego sekretarza KC KPZR L. I. Breżniewa w USA, zawarto porozumienie o zapobieganiu wojnie jądrowej. W 1972 roku na podstawie radzieckiego projektu zawarto Konwencję o zakazie opracowań, produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej (biologicznej) i toksycznej oraz o jej zniszczeniu. Konwencja, którą podpisało ponad 110 państw, weszła w życie 26 kwietnia 1975 roku. Jest ona pierwszym porozumieniem o rozbrojeniu, przewiduje bowiem zniszczenie broni bakteriologicznej, którą w niektórych państwach dotąd produkowano i magazynowano. W marcu 1972 roku kraje socjalistyczne złożyły w Genewie projekt konwencji o zakazie użycia chemicznych rodzajów broni.

W podpisanym 3 czerwca 1974 roku w Moskwie radziecko-amerykańskim porozumieniu o ograniczeniu podziemnych prób broni jądrowej, oba państwa zobowiązały się do zaprzestania z dniem 31 marca 1976 roku wszelkich prób z bronią termojądrową o mocy ponad 150 kiloton oraz sprowadzeniu do minimum prób poniżej tej granicy. Biorąc to za punkt wyjścia, rząd ZSRR doszedł do wniosku, że „teraz (...) dojrzały warunki, żeby zrobić ostatni krok na tej drodze i zawrzeć szerokie międzynarodowe porozumienie zakazujące wszelkich bez wyjątku prób z bronią atomową". **Projekt odpowiedniej konwencji został przedłożony do zatwierdzenia na XXX sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ.**

Związek Radziecki złożył propozycję wyprowadzenia z Morza Śródziemnego wszystkich okrętów wyposażonych w broń atomową. Popiera on także propozycję innych krajów w sprawie stworzenia stref wolnych od broni atomowej i wyraził gotowość uznania statusu takich stref. Z inicjatywy Finlandii — poparły ją kraje socjalistyczne — latem 1975 roku grupa ekspertów pracowała nad kwestią stworzenia stref wolnych od broni jądrowej i przedłożyła odpowiednie sprawozdanie na XXX sesji Zgromadzenia Ogólnego.

W maju 1972 roku ZSRR i USA zawarły porozumienie o ograniczeniu systemów obrony przeciwrakietowej. Ten sam cel przyświeca zawartemu w 1972 roku, i przedłużonemu na dalszych pięć lat, radziecko-amerykańskiemu porozumieniu o ograniczeniu strategicznych broni ofensywnych.

Z inicjatywy Związku Radzieckiego XXVI sesja Zgromadzenia Ogólnego przyjęła rezolucję o zwołaniu światowej konferencji rozbrojeniowej. Największą przeszkodą w realizacji tej doniosłej idei jest nadal negatywne stanowisko USA i ChRL. Oba te państwa jednomyślnie sprzeciwiły się zwołaniu takiej konferencji, nie licząc się z żądaniami przygniatającej liczby krajów członkowskich ONZ.

W Programie Pokoju, nakreślonym na XXIV Zjeździe KPZR, Związek Radziecki podkreśla swoją gotowość do zawarcia „porozumienia w sprawie redukcji wydatków na zbrojenia, w pierwszej kolejności wielkich mocarstw". Szeroki rezonans w świecie wywołała propozycja Związku Radzieckiego wniesiona na obrady XXVIII sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ zredukowania o 10 procent budżetów wojskowych krajów — stałych członków Rady Bezpieczeństwa i wydatkowania części zaoszczędzonych w ten sposób środków na potrzeby krajów rozwijających się. Urzeczywistnienie tej propozycji, zaaprobowanej przez Zgromadzenie Ogólne OZN, **byłoby dużym krokiem w przód na drodze ograniczenia wyścigu zbrojeń**, a obok tego stworzyłoby możliwość okazania dodatkowej pomocy krajom rozwijającym się w wymiarze około półtora miliarda dolarów.

Od października 1973 roku toczą się w Wiedniu rozmowy o wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej.

Jeśli spojrzeć na całą tę różnorodność rozważanych obecnie problemów związanych z ograniczeniem zbrojeń i rozbrojeniem, widać jak decydujący i zarazem mobilizujący wpływ wywiera na ten proces Program Pokoju nakreślony na XXIV Zjeździe KPZR. **Jest on programem działania dla całej wspólnoty socjalistycznej, dla całej ludzkości tak gorąco pragnącej pokoju. Wiele zawartych w nim propozycji już urzeczywistniono, inne są bliskie urzeczywistnienia a jeszcze inne określają treść i kierunek prowadzonych obecnie rozmów.**

JERZY CZECH

ZASKAKUJĄCA NOMINACJA W PEKINIE
SPEKULACJE NA GIEŁDACH WALUTOWYCH
„WAKACYJNY" RZĄD WE WŁOSZECH
LUDOWA ANGOLA – CZŁONKIEM OJA

Sytuacja w Chinach jest tak płynna, że to, co jeszcze przed tygodniem wydawało się pewne — dziś zostało zdeaktualizowane. I tak niemal z godziny na godzinę „murowany" kandydat na premiera Teng Siao-ping musiał ustąpić miejsca Hua Kuo — fengowi, który nieoczekiwanie otrzymał nominację na pełniącego obowiązki szefa rządu. W takiej roli Hua — od początku 1975 roku wicepremier i minister bezpieczeństwa publicznego, a wcześniej przewodniczący komitetu rewolucyjnego prowincji Hunan — pokazał się po raz pierwszy pod koniec ub. tygodnia, przyjmując ambasadora Wenezueli.

Wszystko to razem nie zasługiwałoby może na uwagę, gdyby nie fakt, iż **tej zaskakującej nominacji towarzyszy kampania propagandowa, zwalczająca nowe osobistości „kroczące drogą kapitalistyczną".** Czy chodzi tutaj o Teng Siao-pinga — trudno odpowiedzieć. Tymczasowość sytuacji w kierownictwie pekińskim — zdaniem kół zagranicznych — świadczy o rozbieżnych liniach politycznych. Komentatorzy twierdzą, że Pekin znalazł się na najtrudniejszym zakręcie historycznym.

Rozpoczęliśmy przegląd wydarzeń od tego właśnie tematu, gdyż przed tygodniem analizowaliśmy na tym miejscu sytuację w Chinach po śmierci Chou En-laja, sygnalizując, że coś się tam dzieje. Ale wówczas jeszcze dawaliśmy szanse Teng Siao-pingowi, który teraz, zdaje się, odszedł w cień.

Z dalekich Chin przenieśmy się do Europy zachodniej.

Ostatnie dni przyniosły szybkie narastanie fali spekulacyjnej na giełdach walutowych. Notowane od trzech tygodni naciski spekulacyjne, obliczone na dewaluację franka francuskiego i rewaluację marki zachodnioniemieckiej, sięgnęły szczytu. O rozmiarach zjawiska świadczy fakt, że Francuski Bank Narodowy sprzedał innych walut — dolarów i marek — o wartości 1,6 mld dol.

Trudna sytuacja franka omawiana była na posiedzeniu rządu, po którym kategorycznie zaprzeczono możliwości dewaluacji. Nie uspokoiło to jednakże rynku walutowego.

O tych wydarzeniach **piszemy z dwóch powodów — potwierdzenia, że kryzys walutowy na Zachodzie trwa i rozwija się oraz wykazania, że kolejne, 27 już spotkanie na szczycie RFN—Francja musiało przebiegać pod znakiem tych zaostrzonych kłopotów.**

I chociaż Schmidt i Giscard d'Estaing chcieli rozmawiać przede wszystkim o integracji zachodnioeuropejskiej i problematyce międzynarodowej (wydarzeniach w Angoli i na Bliskim Wschodzie oraz sytuacji Cypru) problemy walutowe wcisnęły się na porządek obrad.

Wyjaśnijmy, że we Francji od pewnego czasu nastąpiło ożywienie gospodarcze, ale połączone z inflacją. Związki zawodowe twierdzą, że jest ona rzędu 14 proc. rocznie. Ma to swoje negatywne skutki w handlu zagranicznym i z tym należy wiązać spekulacje walutowe.

Innym wydarzeniem Europy zachodniej jest **sformowanie we Włoszech, po pięciotygodniowym kryzysie, nowego rządu.** Rządu, złożonego jednak wyłącznie z przedstawicieli chadecji, a więc mniejszościowego. O takich, pozbawionych dłuższej egzystencji gabinetach, Włosi mówią, że są „wakacyjne". I rzeczywiście nowo tworzonemu rządowi Aldo Moro nie rokuje się długiego żywota — 2—3 miesiące. W parlamencie jawnie popierany on będzie tylko przez socjaldemokratów, ale po cichu może liczyć także na wsparcie socjalistów i republikanów. Po prostu żadna z liczących się partii włoskich nie jest teraz zainteresowana rozwiązaniem parlamentu i rozpisaniem nowych wyborów. Trudności ekonomiczne są tak duże, że nie można zwlekać z ich rozstrzygnięciem. Lepszy więc obecnie jest rząd słabszy niż żaden.

Powołanie monopartyjnego rządu z przekonaniem, że jest on tymczasowy **świadczy o sytuacji wewnętrznej Włoch.** Czy uda się ją „łatać" do wyborów powszechnych, które mają się odbyć w przyszłym roku, czy też pęknie wcześniej — jest właśnie najczęściej zadawanym pytaniem przez obserwatorów życia we Włoszech.

W kalendarzu politycznym minionego tygodnia odnotować trzeba także **przyjęcie Ludowej Republiki Angoli, jako pełnoprawnego członka do Organizacji Jedności Afrykańskiej.** Oznacza to, że większość krajów afrykańskich uznała rząd LRA za jedynie legalne przedstawicielstwo. Jeszcze niedawno, w czasie szczytu OJA, o czym pisaliśmy na tym miejscu, opinie były zrównoważone. Kiedy jednak Uganda i Togo uznały rząd premiera Neto — po stronie Ludowej Republiki wypowiedziało się już 27 spośród 46 członków tej organizacji.

Informacja o tym fakcie zbiegła się z doniesieniami **o nowych sukcesach sił zbrojnych republiki.** W chwili, kiedy piszemy te słowa, całe południe Angoli jest już wyzwolone.

Przegląd tygodnia zakończmy przypomnieniem o dwóch wizytach, świadczących o aktywnych stosunkach Polski z innymi krajami. **Gościliśmy premiera rządu Republiki Zielonego Przylądka — Pedro Piresa, natomiast polski minister spraw zagranicznych** — S. Olszowski składał wizytę w Danii.

W obu przypadkach omawiano zarówno sprawy bilateralne, jak i ogólniejsze. Z dniem 12 lutego br. Polska i Republika Zielonego Przylądka postanowiły nawiązać stosunki dyplomatyczne na szczeblu ambasadorów.

W. SŁAWSKI

SPORT

KOMU POTRZEBNY PSYCHOLOG?

Nie ma w tym nic dziwnego, że w chwili niepowodzeń wszyscy zainteresowani pytają: dlaczego? To krótkie pytanie powtarzano w ostatnich dniach wielekroć. Niemal po każdym występie polskich zawodników w Innsbrucku pytano: dlaczego? Dlaczego poprzednio było znacznie lepiej, a kryzys nastąpił dopiero w momencie trwania XII Zimowych Igrzysk Olimpijskich? Jakie są powody tego kryzysu? Czy rzeczywiście zaczął się on akurat w lutym 1976 roku? Gdzie i kiedy popełniono błąd?

Najlepszą oceną możliwości naszych olimpijczyków były odpowiedzi trenerów, którzy pytani o ewentualną lokatę swoich podopiecznych, nieustannie dawali im jedno z dalszych miejsc w pierwszej dziesiątce.

— W pierwszej dziesiątce powinien (powinni) się zmieścić— taki był stereotyp trenerskich odpowiedzi. A przecież niektórzy z tychże zawodników lokowali się zupełnie nieźle w mistrzostwach Europy czy świata. Skąd więc ta nagła „skromność"?

Jan Szpunar, który tak niefortunnie wystartował w sztafecie biathlonu, jest przecież trzykrotnym mistrzem świata juniorów, brązowym medalistą mistrzostw świata, mistrzem i wicemistrzem Polski. Erwina Rysiówna jest ośmiokrotną medalistką mistrzostw świata juniorek, dwukrotną srebrną medalistką mistrzostw świata w jeździe szybkiej na lodzie na dystansie 1 000 i 1 500 metrów. W Innsbrucku była zaledwie ósma. Jan Staszel, który w Innsbrucku zajął 24 miejsce, dwa lata temu był brązowym medalistą mistrzostw świata.

— Nie oceniam 20 miejsca Wiesława Gębali i 24 Jana Staszela jako złych, ale oczywiście nie jestem w pełni zadowolony z ich biegów — powiedział reporterowi „Przeglądu Sportowego" Edward Budny, trener polskich narciarzy.

Muszę się przyznać, że czegoś tu nie rozumiem. Jeśli dwa lata temu Jan Staszel mógł być trzecim w biegu narciarskim, a na XII Zimowych Igrzyskach — 24 i to zostało dobrze ocenione, to albo Jan Staszel nie powinien był jechać do Innsbrucka, albo Edward Budny powinien się zastanowić nad tym, co robi i mówi.

Po sromotnej klęsce sztafety biathlonu, która zajęła 12 miejsce na 15 możliwych, dziennikarze próbowali podpowiadać trenerowi, że może zawodnikom przydałby się... psycholog: Działo się to na ekranie telewizyjnym, a któryś z telewidzów natychmiast zareagował logicznie i wytknął trenerowi błąd, poddając w wątpliwość znajomość formy zawodników. — Bo skoro — argumentował telewidz — najlepiej w sztafecie pojechał Ludwik Zięba (miał trzeci czas w swojej zmianie) to dlaczego trener nie wystawił go do konkurencji indywidualnej, a wystawił tych, którzy pojechali kompromitująco?

Wołanie o psychologa rozlega się zawsze, ilekroć w którejś dyscyplinie zaczyna dziać się źle. Już kilka razy w momentach pełnego kryzysu piłkarskiej drużyny ŁKS słyszałam, że tu też potrzebny był psycholog. Teraz przydałby się on biathlonistom, hokeistom, saneczkarzom, narciarzom, łyżwiarkom. Jakoś radzieckiemu zawodnikowi, któremu w momencie startu pękło wiązanie i w skarpetce pobiegł po nową nartę, psycholog nie jest potrzebny. Nie był też potrzebny zawodnikom NRD, którzy z końca pierwszej dziesiątki podnieśli się na trzecie miejsce i zdobyli w sztafecie biathlonu brązowy medal.

Nie jestem przeciwna psychologom. Jestem prawie pewna, że trenerom przyda się niewątpliwie pomoc nauki i to nie tylko psychologii. Jestem również przekonana, że taką pomoc otrzymają i że wyciągnie się właściwe wnioski z kryzysu, jaki odsłonił nam w całej pełni udział naszej reprezentacji w XII Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Innsbrucku. I że wnioski z tego posłużą dla uniknięcia podobnych błędów w przygotowaniu do Montrealu.

Jeśli można rzecz oceniać na gorąco, jeszcze w przeddzień zakończenia Zimowej Olimpiady, to wydaje mi się, że z jednoznacznych i niemal jednomyślnych wypowiedzi trenerów, którzy zgodnie stwierdzali, że zawodnicy byli przygotowani do występu w Innsbrucku dobrze — wniosek wynika jeden. Nasi zawodnicy byli dobrze przygotowani, ale nie do tej Olimpiady. W naszej ekipie było sporo mistrzów i wicemistrzów, zawodników, którzy w ubiegłych latach plasowali się na czołowych miejscach. Dlaczego teraz znaleźli się na końcu? Czy tylko dlatego, że muszą jeździć po złym lodzie? Że mają do dyspozycji jedynie Tatry? Że bywały zimy bez śniegu?

Chyba nie. Chyba dlatego, że zatrzymali się w swoim rozwoju, że w sposobie myślenia trenerów nastąpiła stabilizacja. Przygotowywali ich dobrze, ale do zawodów sprzed roku, sprzed dwu lat. Podczas, gdy przez ten czas inni nieustannie myślą o przyszłości, o doskonaleniu techniki, metod treningu. Podczas, gdy u innych trening staje się niemal codziennym obowiązkiem, a czas treningu rośnie nieustannie.

I w tym miejscu wydaje mi się, że teraz warto inaczej spojrzeć na metody stosowane przez Huberta Wagnera. Nie moim zamiarem przeciwstawiać go innym, ale tylko przypomnieć, że od innych — mimo różnych uprzedzeń — też warto się uczyć. Jeśli chcemy osiągać dobre wyniki, trzeba uczyć się od każdego i zawsze. Innego wyjścia nie ma.

BOGDA MADEJ

OBYCZAJE

WĘDROWNICZEK

RYSZARD BINKOWSKI

Twarz ma płaską, jakby kwadratową i mięsisty bokserski nos. Spoza grubych warg wylatują dźwięki nieartykułowane, przy powtórce można wyłowić właściwe słowa.

— Urodził żem się w pięćdziesiątym trzecim, w Kamiennej Górze. Podstawówki nie skończyłem, bo kierownik miał do mnie żal...

— No?

— E tam, takie głupoty. Cukru my mu sypnęli do syrenki... A potem jeden Kukła powiesił mu się w sraczu. Tak na niby, ale kieruś dostał zawału...

— A w domu, jak?

— Była matka i starszy brat. Ojciec w terenie. Długo nie zagrzałem w chałupie...

— Dlaczego?

— Matka wymówiła kwaterę.

— Za gaz?

— No!... Na wsi było co skubnąć. Kieratówka, sikacze. Raz staremu kawalerowi wyciągnęli my przez lufcik dwa balony po sześćdziesiąt litrów. Ja tam wlazłem, założyłem wężyki. I potem się ustami pociągło i ten alpag domowy leciał do wiaderek, które się powynosiło do starej stodoły przez jedną noc...

— Gdzie spałeś?

Oczy ma brązowe, wystraszone. Ucieka spojrzeniem na splatane nerwowo palce.

— Różnie. W stodołach, na dworcach, w stogach, czasem u brata.

— Wędrowałeś?

— Jasne! W rajzie zawsze złapie się kumpla. We dwóch łatwiej trafić jelenia.

— I z tego żyłeś? Mogłeś przecież podjąć robotę.

— Nie mogłem. Nie miałem dowodu.

— Tak trudno wyrobić? Zdjęcia, metryczka...

— Szkoda forsy i zachodu. Lepiej nie być w obiegu. Odciski badają...

— W końcu i tak wpadłeś.

— Fatalny dzień. To przez Miksę...

— Kto to jest Miksa?

— Mój rocznik. W sierpniu 74 wyszedł z amnestii. Porobił parę dni w Gorzowie, potem przy rozbiórce. A później uszkodził ciut jednego murarza. Miał się żenić z Maliną, ona była podbita, to nie zgłaszał się do odbycia kary, bo chciał jej pomóc.

— Zwinęli go przy tobie?

— Nie! Ukrywał się. Ale raz zmoczyliśmy się ostro patykiem. Miksa był niedopity i poszedł ze mną do sklepu. Miał sześćdziesiąt sześć składakowego na dwie butelki. Ja stanąłem z boku, a on w kolejce.

— Był pijany?

— Tak.

— I ekspedientka nie chciała sprzedać?

— O to chodzi! I wtedy Miksa poszedł na tył kolejki. Przechylił się przez ladę, żeby przebadać, co jest na półce. A z boku stała jedna sprzątaczka. Taka blond żyrafa w portkach, kikrowata. Jakaś lepsza, bo doiła oranżadę z butelki, musiało ją suszyć.

— Miksa nic nie ściągnął?

Wsadził palce za wysoki golf czerwonego swetra, podrapał skórę na szyi. Wyjął dłoń i pstryknął palcami, jakby tłukł niewidoczną wesz.

— Ta żyrafa zaczęła wrzeszczeć, że tam ktoś kradnie wino. Jak pan tak może, piszczała, suchotnica jedna. I wtedy ekspedientka, baba jak wywrotka marki ził, łaps! Miksę za kurtkę od tyłca. W jednej ręce trzymał „Faworytkę" pod kurtką siedziała druga...

— A ty?

— Dałem szpica w drzwi. Bo druga ekspedientka już je zamykała. Żeby Miksa nie prysnął...

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Zostawiłeś kumpla. Paskudnie...

— Jaki tam kumpel! Kumpla to ja znalazłem, ale na dworcu. W Poznaniu. Przy piwie my się trafili. Pyta, co robię, a ja, że spadam spod oka. A on na to, że jest Żyła i czy nie chcę z nim do Łodzi miasta. Potrzepałem bilonem w kieszeni, a on się śmieje...

— Pojechałeś. To była ostatnia jazda.

— Tak jakby. Bo później jeździłem budą. Z przechowalni do sądu.

— W pociągu na gapę?

— Nie! Żyła kupił bilet. Pod ten bilet liter stołowej. Pół wyciągli my na korytarzu, resztę w kibelku. I zrobiło się duszno. Zdrzemnąłem się w korytarzu na podłodze. Jak mi ktoś nadepnął na rękę, to się obudziłem. Żyły nie było... Zacząłem go szukać...

— I dlatego wlazłeś do pierwszej klasy?

— Nawet nie wiedziałem, że jedynka. Przybuzowany byłem. Patrzę, a w tym pustym przedziale siedzi sobie kobieta...

— Podobała ci się?

— No! Włos anielski, z przodu ta... mleczarnia, no i jak tak miała założoną nogę na nogę, to mnie aż brzuch rozbolał... Wszedłem, powiedziałem grzecznie „dzień dobry" i czy jest wolne. Kiwnęła głową, więc przysiadłem. Byłem pijany, wydawało mi się, że ona też, tak się zawsze wydaje, i chciałem od razu w ślinę, ale ona warknęła, żebym się odsunął...

— Zrobiłeś to?

— Jasne! Wstałem, zasunąłem flranki od korytarza, przekręciłem zatrzask w drzwiach i do roboty...

— Naprawdę chodziło ci tylko o to, żeby pocałować tę kobietę?

Tak jakby się spocił. Rozpiął i zsunął na ramiona taki bluzo-chałat, popielaty, z cholernie wygniecionymi połami.

— Można zajarać?

— Proszę.

Zaciągnął się trzykrotnie, oczami uciekł pod stół.

— Zobaczyłem — powiedział przełykając ślinę — **że na półce leży niebieski neseser. Wnerwiło mnie, że ona tak z pyskiem, i chciałem go zabrać.**

— Wiedziałeś, że nie odda dobrowolnie.

— Tak. I dlatego zacząłem ją ugłaskiwać. Wolno, rękami po biodrach, potem wyżej... Splunęła mi w oko. Nie wytrzymałem! Chwyciłem ją za gardło i przycisnąłem... Wrzeszczała, jakbym ją dusił...

— A nie dusiłeś?

— Chciałem tylko nastraszyć. Ale jak zaczęła wrzeszczeć i pasażerowie walili w drzwi, to ze strachu przycisnąłem mocniej...

— Mógł przyjść konduktor...

— Tak też pomyślałem. Ale pociąg akurat zwalniał. Przytrzymałem ją jedną ręką za gardło, drugą ręką otworzyłem okno i wyskoczyłem. Przy wyjściu z dworca dopadło mnie kilku ludzi z pociągu. Chwycili za marynarkę, szarpnąłem się i marynarka została im w ręku. Ani dziadków, ani makulatury nie było...

— Wiedziałeś, gdzie jesteś?

— Nie zauważyłem, była noc. Biegłem w miasto, żeby jak najdalej. Zatrzymałem się w wąskiej i pustej, słabo oświetlonej ulicy. Pościgu nie słyszałem. Podszedłem do małego parterowego domku i wlazłem do środka.

— Tak od razu?

— E, nie! Postukałem do drzwi, do okien, nikt nie odpowiadał, to już wiedziałem, że tam nikogo nie ma. Miałem pileczkę, odciąłem kłódkę...

— Dlaczego wszedłeś?

— Bo mnie po wódce nie skręca, mogę żreć. Chciało mi się jeść. Zapaliłem światło i rozejrzałem się. Najpierw pojadłem. Był chleb, smalec, kaszanka. Popiłem kompotem. Pomyślałem, że jak już jestem, to trzeba zorganizować coś za zimę.

— Szukałeś forsy.

— Tak, ale nie było. Znalazłem bony, pod bielizną, coś koło pięćdziesięciu dolców, ale nie liczyłem. Zostałem w samym swetrze, musiałem więc wziąć jakiś płaszcz. Był damski. Lichy, taki w jodełkę...

— Gdybyś wiedział, że właścicielką jest osiemdziesięcioletnia rencistka, która nie może poruszać się o własnych siłach...

— To co? Niewiele jej potrzeba. Chodzić nie może, a dolce ma...

— Dobra. Co potem?

— Włożyłem ten płaszcz, była już trzecia w nocy, i poszedłem na dworzec. Położyłem się na ławce i zasnąłem. Zbudził mnie sokista...

— Pabianice były ostatnią stacją w rajzie.

— Myślę, że naprawdę ostatnią. Teraz przez trzy lata mam zapewniony dach nad głową. Tyle domagał się prokurator. Może się tam czegoś nauczę? Nie wiem. Ale na pewno wyrobią mi... dowód osobisty i chyba wezmę się za robotę.

— Matka cię przyjmie?

— Przez trzy lata można odzwyczaić się od picia. To dobra odwykówa...

LISTY

„KOMU GAJÓWKĘ"

We wrześniu 1975 r. opublikowaliśmy reportaż Andrzeja Makowieckiego pt. „Komu gajówkę". Odpowiedź z Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Olsztynie otrzymaliśmy w styczniu 1976 r. Publikujemy ją w obszernych fragmentach.

W nawiązaniu do artykułu red. Andrzeja Makowieckiego pt. „Komu gajówkę" zamieszczonego na łamach tygodnika „Odgłosy" nr 37 z 11 września ub. roku, Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Olsztynie wyjaśnia:

Autor artykułu lojalnie przyznaje, że nie jest specjalistą do spraw leśnych i dlatego być może niechcący wyrządził dużą szkodę moralną leśnikom olsztyńskim. Należy pamiętać, że w roku 1945 kiedy lasy Warmii i Mazur przeszły we władanie polskich leśników, lesistość tego regionu wynosiła w tym czasie zaledwie 19 proc., dziś lesistość osiągnęła już 28 proc. powierzchni regionu.

W okresie 30-lecia wykonano ponad 210 tys. ha zalesień i odnowień w tym około 115 tys. ha zalesień gruntów nieprzydatnych dla potrzeb rolnictwa. Aktualnie rokrocznie zalesia się i odnawia ponad 5000 ha gruntów. Powierzchnia lasów będzie nadal wzrastała, muszą więc zniknąć obawy o zasoby leśne dla przyszłych pokoleń (...)

Stwierdzenie red. A. Makowieckiego, że „zrębów dokonuje się jak leci" jest niezgodne z prawdą. Każde nadleśnictwo obowiązują opracowane na okresy 20-letnie, „Plany urządzenia gospodarstwa leśnego", które są co 10 lat aktualizowane. Plany te w szczegółowy sposób określają, jaki fragment lasu ma być wycięty i w którym roku. Leśnicy olsztyńscy wyłączyli z normalnej gospodarki leśnej 5600 ha drzewostanów krajoznawczych i ochronnych, 3850 ha rezerwatów przyrody oraz 600 ha wyłączonych drzewostanów nasiennych. Ma to na celu zachowanie najpiękniejszych i najbardziej wartościowych drzewostanów w ich pierwotnej formie. Szczególną wagę i troskę leśnicy olsztyńscy przywiązują do reprodukcji najcenniejszych genetycznie drzewostanów w tym własnej „sosny taborskiej" i „piskiej".

Prawdą jest, że nie można wyhodować dobrego drzewostanu bez pielęgnacji. Sprostowania więc wymaga stwierdzenie autora artykułu: „nie pielęgnuje się młodych lasów, nie trzebi, nie czyści". Tylko w pięcioleciu 1971-1975 zabiegami pielęgnacyjnymi objęto powierzchnię 263,5 tys. ha lasu, tj. około 40 proc. całego arealu powierzchni leśnej. Z wyżej wymienionej powierzchni przypada na: pielęgnowanie upraw i czyszczenia wczesne 100,7 tys. ha, czyszczenia późne w młodnikach 42,8 tys. ha oraz trzebieże 120 tys. ha.

Być może na niektórych powierzchniach jakość tych zabiegów odbiega w pewnym stopniu od potrzeb. Decyduje jednak o tym szereg czynników obiektywnych jak: brak odpowiedniej ilości rąk do pracy, stosunkowo niskie płace, utrudnione wykonawstwo (pielęgnowanie dużych powierzchni zwartych młodników) itp. Ostatnio został powołany przez V-Ministra Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego Zespół d.s pielęgnowania lasu, którego celem jest ustalenie sposobów i kierunków dalszego postępowania w tym zakresie.

Pewien wpływ na jakość tej kategorii drzewostanów mają również szkody wyrządzone przez zwierzynę. Region olsztyński jest jednym z najbardziej narażonych w kraju na uszkodzenia tego typu. Aby temu zapobiec stosuje się w coraz większym zakresie środki odstraszające — repelenty, jak też tradycyjne grodzenia (...)

W artykule został poruszony niezwykle ważny problem zaśmiecania i niszczenia środkowiska leśnego. I w tych sprawach leśnicy olsztyńscy wykazują duże zaangażowanie, o czym świadczy fakt, że kosztem wielu milionów złotych wybudowali i budują pola namiotowe, biwakowiska, parkingi i inne urządzenia turystyczne mające przede wszystkim zapewnić dobry wypoczynek coraz to liczniejszej rzeszy turystów. Stwierdza się jednak, że istnieje jeszcze dość liczna grupa turystów, która wyrządza w lesie poważne szkody oraz zaśmieca i niszczy udostępnione im urządzenia turystyczne. Tylko w roku 1975 pracownicy leśni służby ochronnej nałożyli 4456 mandatów karnych na kwotę 461.070 złotych. Jest to zło konieczne — ale chyba dobitnie świadczy o randze problemu.

Nawiązując do artykułu „Komu gajówkę" należy stwierdzić, że wraz z postępem technicznym oraz zachodzącymi zmianami i przeobrażeniami w życiu naszego społeczeństwa, zmienia się również status leśnika. Model leśnika romantyka, przemierzającego z fuzją ostępy leśne, a następnie wypoczywającego przy kominku w salonie pełnym trofeów myśliwskich, jest dziś nie do przyjęcia. Współczesny leśnik — to hodowca lasu i producent drewna, strażnik lasu — największego źródła ochrony środowiska ludzkiego. Dzisiaj robotnik leśny to wykwalifikowany drwal — motorniczy oraz często już operator skomplikowanych maszyn i urządzeń leśnych, pracujący w nowoczesnym procesie technologicznym w systemie brygadowym. Tacy pracownicy muszą być dowiezieni na stanowiska pracy ponieważ nie do pomyślenia jest, by przydzielone im narzędzia pracy ważące często dziesiątki kilogramów nosili kilka kilometrów. Nie warto powtarzać się odnośnie wymaganych warunków socjalnych i bytowych, bo autor artykułu wyeksponował to należycie. Wszystko przemawia za budową nowoczesnych osiedli leśnych zlokalizowanych w miejscu zapewniającym stałą opiekę lekarską, zaopatrzenie się w artykuły codziennego użytku, bazę oświatowo-kulturalną itp.

W lasach olsztyńskich jest ponad 3 tysiące osad funkcyjnych, a znaczna ich ilość jest położona w lesie. Nikt jednak nie ma zamiaru z nich rezygnować. Osady te są modernizowane w takim kierunku, jak mówi autor artykułu (światło, woda, centralne ogrzewanie).

Istnieją nieliczne osady znacznie oddalone od wsi i miast, których stan techniczny jest zły (nieopłacalne remonty), a koszt doprowadzenia prądu elektrycznego przekracza koszt budowy nowej osady. Osady takie, w których nikt z pracowników leśnych nie chce już mieszkać, w sporadycznych wypadkach są udostępniane w okresie letnim dla celów rekreacyjnych. (...)

Jesteśmy głęboko przekonani, że autor artykułu miał najlepsze intencje pisząc o lasach i leśnikach olsztyńskich!

mgr inż. ADAM SZCZERBA
Dyrektor Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Olsztynie

JESIENIN

Utrwala się u nas dobra tradycja publikowania przekładów poetyckich łącznie z tekstami oryginału. Pamiętamy znakomite tomy antologii poezji francuskiej, wydawane przez Jerzego Lisowskiego, podobnie wydano „Utwory poetyckie" Joyce'a i Apollinaire'a — niedawno ukazały się wczesne wiersze Jesienina w opracowaniu i przekładach Tadeusza Nowaka.

Tym razem nowy tom Sergiusza Jesienina — wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy pod redakcją Ziemowita Fedeckiego. Jest to wybór bardzo rzetelny i książka wydana pięknie — szkoda, że nie ustrzeżono się błędów w tekstach rosyjskich. Czyżby w PIW zabrakło rusycystów.

Ale nie narzekajmy. Wybór Fedeckiego jest — jak się rzekło — wyborem rzetelnym i chyba bardzo trafnym. Wiadomo, że wiersze Jesienina przekładało w Polsce wielu poetów i translatorów. Nie wszystkim się to udawało — niektóre przekłady przypominały poezje Młodej Polski, z którą rosyjski poeta — jako żywo — nie miał nic wspólnego.

Tak więc zasługa Fedeckiego jest przede wszystkim trafny dobór tłumaczy. Dobrze też, że nie przeoczył jednego z lepszych — choć wciąż niedocenianego — tłumacza Jesienina jakim jest Tadeusz Mongird. Ale wśród przekładów znajdziemy takie nazwiska jak Władysława Broniewskiego, Bruno Jasieńskiego, Wiktora Woroszylskiego (autora pięknej książki biograficznej o Jesieninie), Włodzimierza Słobodnika, Jana Brzechwy, Józefa Waczkowa, Jerzego Litwiniuka czy Seweryna Polaka.

Tom „Poezji" Jesienina pod redakcją Ziemowita Fedeckiego jest chyba najpełniejszym wyborem poezji tego wybitnego poety rosyjskiego.

Sergiusz Jesienin — „Poezje" PIW, cena 50 zł

SZUKAM RAJU

Armenia. Tutaj podobno był biblijny raj. Tutaj widać w dni pogodne słynna góre Ararat. Armenia — kraina położona na krwawym szlaku wojennym między Bliskim Wschodem, Kaukazem, Europą i Azją.

Trudne dzieje Ormian ukazuje w swoim reportażu z radzieckiej Armenii Romuald Karaś. A dzieje te były naprawdę trudne. Armenia, wciśnięta między wielkie mocarstwa, była stałą kością niezgody. W obliczu ciągłych najazdów ludność szukała ocalenia na obczyźnie. Ale tam zachowywali Ormianie swoją odrębność narodową.

Matka francuskiego piosenkarza Charlesa Aznavoura, co roku odwiedza kraj rodzinny. A znana piosenkarka paryska Rosy Armen przed koncertem w Erywaniu, z trudem dobierając ormiańskie słowa, mówi do publiczności: „Ojciec mój — rosyjski Ormianin, matka — turecka Ormianka, ja zaś — Ormianka francuska". Przyjeżdża tu z Ameryki William Sarovan, który mówi: „słowa jakich używam są angielskie, środowisko opisywane — Ameryka, lecz duch, który pobudza mnie do pisania — ormiański".

Tysiące Ormian przyjeżdża tu osiedlać się na stałe. Repatrianci nie płacą cła, a mogą przynosić dowolną ilość towarów. „Zdarzały się przypadki — pisze Karaś — przetransportowywania nawet niewielkich fabryk, które sprzedawali następnie państwu".

Ale Armenia działa także na rzecz emigrantów. W Erywaniu ukazują się dwa czasopisma przeznaczone dla Ormian żyjących na obczyźnie. Drukuje się tu rocznie 200 tysięcy egzemplarzy podręczników dla szkół ormiańskich za granicą.

Książka Romualda Karasia jest piękna podróżą do dalekiego kraju, o którym wciąż wiemy tak mało.

Romuald Karaś: „Szukam raju", Wyd. „Iskry", cena 30 zł

PERYPETIE WYNALAZKÓW

Wszystko zostało kiedyś wynalezione. Rakiety kosmiczne i agrafki, lasery i widelce, telewizory i ołówki... I właśnie o tych setkach odkryć i wynalazków napisał piękną książkę Juliusz Jerzy Herlinger. Książka liczy prawie 400 stron i oczywiście nie sposób opowiadać co zawiera.

Ale zawiera urokliwe opowieści o alchemikach i lokomotywach, o pierwszych samochodach, parostatkach, telegrafach; o perypetiach różnych patentów — słowem jest to potężny, przebogaty zbiór przedziwnych zdarzeń.

A czy wiecie, jak powstał syntetyczny kauczuk? Powstał dzięki... blokadzie ekonomicznej ZSRR przez państwa Ententy. Tak jest! Właśnie, na skutek owej blokady Kraj Rad ogłosił w 1926 roku konkurs na metody produkcji syntetycznego kauczuku. I wówczas to Sergiusz Lebiediew wpadł na pomysł wytwarzania kauczuku z... kartofli. Nie dosłownie — najpierw z kartofli robiono spirytus — ze spirytusu dwuwinyl, a z dwuwinylu kauczuk. Dziś oczywiście metoda jest prostsza i tańsza. Syntetyczny kauczuk produkuje się z gazu ziemnego.

I takich właśnie historii zawiera księga Herlingera dziesiątki. Naprawdę pasjonująca lektura.

Juliusz Jerzy Herlinger — „Niezwykłe perypetie odkryć i wynalazków", Nasza Księgarnia, cena 45 zł

MROŻEK

Sławomir Mrożek zaledwie zbliża się do niedziesiątki ale jego pozycja w polskiej literaturze jest już niepodważalna. Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazały się już cztery efektowne tomy w jednakowej szacie graficznej, mogące być właściwie serią „Utworów wybranych". Są to „Opowiadania", „Dwa listy" oraz „Utwory sceniczne" i „Nowe utwory sceniczne".

Prawie jednocześnie z ostatnim tomem ukazał się w serii „Biblioteki Literatury XXX-lecia" obszerny wybór dramatów i opowiadań. Jest to tom ponad 400-stronicowy, wydany w dużym stosunkowo nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy. Zawiera cztery sztuki (m.in. „Tango" i „Indyka") oraz wybór ze zbiorów opowiadań od „Półbuncerzy praktycznych" z roku 1953 po „Dwa listy" z roku 1974. Czyli jest to przekrój dwudziestoletniego dorobku pisarza.

Utwory Sławomira Mrożka bliskie stylowi tragigroteski, mają aktualne podteksty obyczajowe i filozoficzne. Najnowszy wybór prezentuje celniejsze opowiadania bogatego dorobku pisarza.

Sławomir Mrożek — „Wybór dramatów i opowiadań", Wyd. Literackie, cena 60 zł

W KRAKOWIE I W PARYŻU

„Z polskiego owsa nie zrobiono ryżu" — pisze autor tych wspomnień Jan Brzękowski, znany poeta, członek krakowskiej Awangardy z lat międzywojennych. Brzękowski pozostał pisarzem polskim mimo silnych powiązań z kulturą francuską, pomimo, że ponad połowę życia spędził we Francji i tu założył rodzinę.

W swoich wspomnieniach przypomina Brzękowski młodzieńcze lata Awangardy — grupę a.r. — postacie Juliana Przybosia i Władysława Strzemińskiego, Peipera, Chwistka, Witkacego... Rysuje także interesujące sylwetki poetów i artystów francuskich — Apollinaire'a, Jacoba, Cendrarsa, Bretona, Cocteau, Legera, Mondriana, Arpa.

Do niedawnych fragmentów wspomnień należą także szkice z okresu wojny i okupacji spędzonej w szeregach Francuskiego Ruchu Oporu. Jan Brzękowski ma życiorys obfitujący w ciekawe zdarzenia i kontakty z ciekawymi ludźmi sztuki. Książka wspomnień o tym życiu jest więc z pewnością interesującym wydarzeniem literackiem.

Jan Brzękowski — „W Krakowie i w Paryżu" Wyd. Literackie, cena 55 zł

WARTO PRZECZYTAĆ

STEFAN KIENIEWICZ „Historia Polski 1795—1918", PWN, cena zł 85.

KRZYSZTOF TEODOR TOEPLITZ „Kultura w stylu blue jeans" PIW, cena zł 25.

GRIGORIJ P. SZKURIN „Elektryczne i elektroniczne przyrządy pomiarowe", MON, cena zł 80.

ZYGMUNT GRABOWIECKI „Brzegiem Bałtyku" (wers. ang.) Interpress, cena zł 160.

ROMAN INGARDEN „Książeczka o człowieku", Wyd. Literackie cena zł 28.

FRANCISZEK BERNAŚ, JULITTA MIKULSKA — BERNAŚ „Upadek III Rzeszy", LSW, cena zł 60.

MICHAIŁ BACHTIN „Twórczość Franciszka Rabelais'ego a kultura ludowa średniowiecza i renesansu", WL, cena zł 120.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

VENUS w ŁODZI

Kiedy przed laty Krakowskie Towarzystwo Fotograficzne organizowało pierwszą wystawę „Venus" — dyskusje na ten temat toczyły się nawet na łamach dostojnych warszawskich czasopism. Potem zresztą zwołano do Krakowa co wybitniejszych asów publicystyki na specjalne sympozjum.

Tak to się zaczynało. A dziś? W całkiem nie dostojnych murach łódzkiego Klubu Dziennikarza otwarto retrospektywną wystawę biustów bioder, ud i pośladków i ekspozycja nie budzi żadnych szczególnych reakcji. Może tylko niektóre koleżanki są w tym otoczeniu jakby trochę przygaszone a niektórzy koledzy jakby nieco rozkojarzeni. Nie zaobserwowano jednak specjalnych wahań obrotów klubowego baru.

Czyli — wszystko znalazło się na swoim miejscu. Nikt już nie grzmi z oburzenia, nikt nie włamuje się nocą do sal wystawowych, aby kraść fotografie rozebranych pań, nikt nie bije parasolką prezesa Klimczaka... Tylko krakowski urząd finansowy wymierzył Towarzystwu Fotograficznemu... domiar, mniej więcej taki jakby krakowscy fotograficy prowadzili uprawę nowalijek pod szkłem lub produkowali bibeloty z plastiku.

Nic więc dziwnego, że miłośnicy „Venus" ruszyli w Polskę ze swoją kolekcją rozebranych pań. W ten sposób wystawa trafiła do Łodzi, bo tu nikt jej domiarem nie obłoży.

Fotogramy wszakże trafiły wcześniej. Od dwu lat publikujemy na ostatniej kolumnie „Odgłosów" akty z kolejnych wystaw „Venus" a bodaj przed rokiem daliśmy uderzeniową dawkę na dwu bitych kolumnach razem z reportażem Andrzeja Gruna. Potem zresztą byliśmy za te reprodukcje — jeśli nie bici i kopani — to co najmniej szarpani.

Nic więc dziwnego, że dla czytelników „Odgłosów" wystawa nie jest nowalijką i poznajemy na niej znajome twarze, że nie powiem dosadniej.

Nie przewiduje także włamania do Klubu Dziennikarza. Taniej, bezpieczniej i nie narażając się na skutki prawne można sobie zafundować nagi akt kupując jakikolwiek ilustrowany magazyn, albo nawet „Wiadomości Produkcyjne", gdzie mimo czujności Karola Badziaka, także znajdzie się czasem jakiś gustowny biust — o zgrozo — bez stanika. Tylko, że po tylu latach wychowawczej działalności Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego nikogo już nie bawi ani nie gorszy oglądanie damskich aktów, które przecież były w modzie jeszcze w epoce Renesansu.

Skąd się więc wzięła nasza współczesna pruderia, skąd te wypieki podniecenia i ten cały dwuznaczny huczek wokół pierwszych krakowskich ekspozycji „Venus"? Pewnie stąd, że przez lata nagość była u nas rzeczą podejrzaną i zdrożną. Wówczas to gazeta, która decydowała się na publikację zdjęcia roznegliżowanej pani, obowiązkowo opatrywała fotografię podpisem w rodzaju: „Oto przykład zgnilizny i moralnego dekadentyzmu zachodniej prasy". Moralność kojarzyła się nieodmiennie z dupą. Tak jak temu mnichowi z felietonu Bova-Żeleńskiego, który antycznym posągom poobtłukiwał to i owo właśnie w imię moralności.

Dziś takie odgromniki nie są potrzebne. Jeszcze tylko „Express Ilustrowany" ubezpiecza publikowane na swoich łamach akty tytułami: „W Australii już lato" albo „Plaża na Wyspach Kanaryjskich". Ale to tylko chwalebna ostrożność, bo przecież zakazu nie ma.

Jak wiadomo zresztą zakazy powodują skutki wręcz odwrotne. Rodzą atmosferę tajemniczości i dreszczyk emocji. Gdyby tak przez parę lat zakazać publikacji zdjęć spustów stali i maszyn w ruchu — to w niedługim czasie tryby i pasy transmisyjne wywoływałyby może dreszcz tajemniczego podniecenia.

A co z naszą retrospektywną „Venus"? Dużo tu dobrej technicznie fotografii, choć i banału artystycznego sporo. Najciekawsze są chyba próby deformacji z fotografią kolorową, ale to już eksperymenty z pogranicza barwnej grafiki, które często z samym tematem „Venus" są w dość luźnym związku.

W sumie wystawa jest ciekawa nie tyle „sama w sobie" lecz jako element i wynik owych — historycznych już — bojów krakowskich fotografików. Bojów o prawo pokazania piękna ciała kobiecego. Mimo to oddałbym cała te wystawę za parominutowy filmik Wudzkiego, który pokazuje tylko w zbliżeniu oczy i usta kobiety poddane kosmetycznym zabiegom tuszu i szminki. Więcej w tym filmie prawdy o zjawisku zwanym kobietą niż w dziesiątkach gładkich i wymuskanych obrazków rozebranych pań. Ale — swoją drogą — i w Klubie Dziennikarza jest na co popatrzeć.

WIDOK

LEWYM OKIEM

BIATHLON ZBLIŻA NARODY

„Nasi chłopcy" grali w hokeja bardzo pięknie, nasz bramkarz — według słów komentatora radiowego — otrzymywał co chwilę brawa publiczności za efektowną obronę, jednakże pomiędzy brawami zdarzyło mu się przepuścić krążek szesnaście razy i wreszcie olimpijska drużyna przegrała z reprezentacją Związku Radzieckiego w stosunku 16:1. Bramkarz radziecki nie otrzymywał braw, bo po prostu przez cały mecz nie miał co robić.

Nie jest to ani tragedia, ani nawet bardzo malutkie zmartwienie, jest tylko trochę śmiechu przy słuchaniu entuzjastycznych komentarzy. Po co nam wygrywać mecze, skoro sprawozdawcy przekonali nas już dostatecznie, że najważniejsza jest sama obecność Polski w Innsbrucku? No tak, trzeba być niepodległym państwem, żeby mieć własną reprezentację. Sprawozdawcy mają rację: dopiero teraz wiemy, że mamy niepodległość.

Jeżdżą tam sobie ludzie na nartach, na saneczkach, na łyżwach. Bardzo to pięknie wygląda, nawet jeśli człowiek nie posiada tej ogromnej, ogromnej wiedzy o rekordach, terminach, nazwiskach, regulaminach, tej imponującej a dość przecież jałowej erudycji, która każe przeliczać natychmiast każdy ruch zawodnika na ułamki sekund, ważyć jego szanse, mierzyć jego błędy i zasługi...

Sport wyczynowy nawet w najbardziej eleganckich dyscyplinach stał się już walką wysoko wyspecjalizowanych, pedantycznie i latami preparowanych fachowców, a w walce tej od dawna przestała wystarczać fizyczna sprawność, wysiłek i szacunek dla rywala. Wiemy przecież, a prasa sportowa ciągle nam to przypomina, jak wielkiej ważności nabrała taktyka, czyli sprytne wygrywanie okoliczności; ile zależy od sprzętu i związanych z nim wymyślnych rekwizytów: smarów, wosków, olejków i Bóg wie czego; uruchamiamy przecież całe specjalistyczne wywiady, żeby podpatrzyły słabe strony przeciwników. Jeżeli taki wywiad przyczynia się — a na pewno tak jest — do zwycięstwa, to czy jego pracownicy też są zawodnikami sportowymi?

Jako zupełny laik w sprawach sportologii, nie wiem kto ustala listę dyscyplin olimpijskich i według jakich kryteriów to się robi. Parę lat temu pozwoliłem sobie na zdziwienie, że jedną z takich dyscyplin jest strzelanie do sylwetek ludzkich. Bardzo piękna zabawa, zbliżająca narody. Naród australijski zbliżył się przecież z narodem niemieckim najbardziej podczas ostatniej wojny: na odległość strzału do sylwetki. Teraz w Innsbrucku mamy biathlon, o którym do niedawna w ogóle nie wiedziałem, co to jest. A to jest bieg na nartach w bojowym uzbrojeniu, zakończony strzelaniem z karabinów do celu. Chodzi mianowicie o sprawdzenie, której narodowości najmniej trzęsą się ręce po przebiegnięciu kilkunastu kilometrów. Trzęsienie rąk można by sprawdzić także na przykład nawlekaniem igły na nitkę, ale widocznie strzelanie jest bardziej praktyczne. Czy to są karabiny z lunetami, takie jak miał Szakal? Czy smar do czyszczenia lufy jednakowy dla wszystkich?

Można by przez analogię zakończyć strzelaniem także przepłynięcie czterystu metrów z granatem w zębach i bieg przez płotki z moździerzem na głowie. Zaręczam wam, że są to dyscypliny wymagające wielkiego nakładu siły woli i pary w płucach. Nie wiem, dlaczego nikt nie wpadł jeszcze na taki pomysł, nie wiem też, dlaczego olimpiada obejmuje jazdę na saneczkach a nie obejmuje takich od wieli lat znanych i uprawianych sportów, jak skoki i akrobacje ze spadochronem, tenis i ping-pong?

Niezależnie od wszystkiego — kto wie, czy nie należałoby nobilitować do rangi olimpijskiej szeregu bardzo spektakularnych, wyczynowych a bezinteresownych (w sensie: do niczego poza samym wyczynem nie przydatnych) działań ludzkich, takich jak — na pierwszy z brzegu przykład — wyścigi lokomotyw spalinowych, dżudo połączone z rzucaniem nożem do sylwetki uciekającego, wędkarstwo na trawie i pływanie trawą w górę rzeki?

Skoro ze sportu w klasycznym jego pojęciu zostało już tylko widowisko, zresztą bardzo piękne i emocjonujące, to niech się do tego zabiorą specе od widowisk. Już oni nam wymyślą, co trzeba.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

S. F.

SF — coraz częściej używany skrót, który oznacza science fiction, fantastykę naukową — gatunek piśmiennictwa, w którym dziś jeszcze niemożliwemu nadaje się pozory możliwości posługując się nauką, pseudonauką, fantazją i utopią. Sam termin wymyślił Ojciec Fantastyki Naukowej, inżynier elektryk Hugo Gernsback, emigrant z Luksemburga, który naprawdę nazywał się Gernsbach. Wydał on w kwietniu 1926 roku magazyn poświęcony wyłącznie SF. Magazyn ten ukazał się pod tytułem „Amazing Stories" („Opowiadania Zadziwiające"), chociaż przygotowując się do jego wydawania H. Gernsback ogłosił na łamach innego swego magazynu „Science and Invention" („Nauka i Wynalazki") ankietę, zapytując w niej czytelników, czy odpowiadałby im tytuł „Scientifiction". Tytuł nie chwycił, ale termin — po modyfikacji na science fiction — pozostał.

Dziś gatunkiem tego rodzaju piśmiennictwa zajęli się „poważni" krytycy, szukając dlań precyzyjnej definicji i zastanawiając się nad jego rodowodem. Jest bowiem pewne, że choć inż. Hugo Gernsback został Ojcem Fantastyki Naukowej (sam jest autorem opublikowanej w 1911 roku powieści: „Ralph 124C+: Romans z roku 2660"), to tego rodzaju powieści i opowiadania „nowelniali" inni, wśród których nie brakuje nazwisk światowej sławy. Szwajcarski krytyk Pierre Versins próbował nawet szukać źródeł SF w egipskich utworach z 2000 r. przed naszą erą, w „Gilgameszu" (ok. 1800 p.n.e.), a także w „Odysei" Homera, w „Politei" u Platona i u Lukiana z Samosaty w „Varia historia". Inni początki SF przypisują „Nowej Atlantydzie" Franciszka Bacona (1627). Ale są też tacy, którzy do tego kręgu twórczości chcieliby zaliczyć „Utopię" Tomasza Morusa (1516).

Dla nikogo nie ulega już jednak wątpliwości, że prekursorami SF w czasach nowożytnych byli Edgar Allan Poe, Juliusz Verne, H. G. Wells. Warto tu jeszcze wspomnieć, że problemami z kręgu SF zajmowali się w czasach już nam bliższych Hans Dominik (Niemcy, 1923), Karol Capek (Czechosłowacja), który w 1920 roku wydał dramat o buncie robotów „R.U.R.", a w 1936 słynną swego czasu i u nas „Inwazję jaszczurów", a także Aldous Huxley, który w 1932 roku wydał „Nowy wspaniały świat".

Po drugiej wojnie światowej sytuacja się nieco zmieniła i skomplikowała. Dziś SF podzieliła się na nurty, gatunki i podgatunki, dostała się do filmu, telewizji i komiksów. Stała się zjawiskiem kulturalnym. Temu, kto chciałby je bliżej poznać, proponuje lekturę wydanej nie tak dawno książki Very Graaf „Homo Futurus" (w PIW, poskiej serii: „Biblioteka krytyki współczesnej"), a także odsyłam do „Fantastyki i futurologii" Stanisława Lema.

U nas SF znajduje się na marginesie zainteresowań krytyków i badaczy, jako że nie nabrała jeszcze rozmiarów, jakie ma gdzie indziej. Nikt jednak nie zaprzeczy, że spotyka się z zainteresowaniem czytelników; nawet „poważny" miesięcznik popularnonaukowy „Problemy" w każdym numerze daje kilka krótkich opowiadań z dziedziny SF. Nic więc dziwnego, że problemem tym zainteresowała się znakomicie redagowana i zawsze starająca być „na kursie wydarzeń" „Literatura na Świecie". Miesięcznik przynosi też w pierwszym numerze z 1976 roku wybór tekstów SF, (Normana Spinrada, Briana Aldissa, Harlana Ellisona, Kurta Vonneguta jr, R. A. Lefferty, J. G. Ballarda, Ursuli K. Le Guin i Rogera Zelaznego), opatrzonych dwoma szkicami: Macieja Jura „S.F." i Juliusza K. Palczewskiego „Wellsa utopia negatywna".

U nas dla SF ma się tylko powszechne pobłażanie, podobnie jak dla powieści kryminalnych. Wszyscy je na ogół czytają, ale każdy woli do tego nie przyznawać się. Byłem kiedyś świadkiem, jak jednemu z nestorów współczesnej literatury publicznie przypisano pogląd, że dowiaduje się on najwięcej o życiu kraju z powieści kryminalnych, gdyż te, aby być prawdziwe, muszą skrupulatnie trzymać się realiów. I byłem też świadkiem, kiedy „rzekomy autor" takiego poglądu publicznie temu zaprzeczał. Czy w pogladzie tym nie ma prawdy? Jest. A więc może nie jest w dobrym tonie przyznawać się do znajomości tego rodzaju literatury?

Coś takiego jest z SF. Wprawdzie uprawiających ten gatunek mamy nie tak znów wielu, ale dociera do nas produkcja innych krajów, w tym znakomita literatura SF ze Związku Radzieckiego, gdzie cieszy się ona dużym uznaniem i zainteresowaniem. Kolejne pozycje wydawane przez Iskry w serii „Fantastyka — Przygoda" błyskawicznie znikają z półek księgarskich, ale — jak do tej pory — nikt nie widzi w tym nic szczególnego i nikt jakoś nie stara się zainteresować tym gatunkiem literatury.

Jeżeli jednak dobra literatura kryminalna jest rozrywką, to SF — w swoim równie dobrym wydaniu — stanowi niewątpliwy bodziec dla rozwijania wyobraźni. Jest to również gatunek literatury, który obok rozbudzania wyobraźni zwraca uwagę czytelników na współczesną naukę i technikę. SF — pisze Vera Graaf w „Homo Futurus" — „może wzbudzić zainteresowanie problemami naukowymi i służyć znakomita informacja, nigdy jednak nie zdoła spełnić funkcji literatury popularnonaukowej, ponieważ trzeba posiadać pewne wiadomości naukowe, aby móc odróżnić fakty od spekulacji". Jeżeli jednak wzbudzi zainteresowanie nauką i techniką, jeżeli spowoduje, że czytelnik sięgnie później po popularnonaukowe opracowania, to bardzo dobrze I tak właśnie się częstokroć dzieje. A rozbudzanie fantazji, rozbudzanie zainteresowań techniką i nauką ma dziś dla nas znaczenie ogromne. Trzeba mieć jednak trochę wyobraźni i fantazji, aby to w całej pełni zrozumieć.

MARCIN RODAK

MAGAZYN
ODGŁOSY

ANDRZEJ JÓŹWIAK

ROZRYWKA, RYTM i MELODIA

Za popularnością gwiazdy przemawia między innymi fakt, że klan wielbicieli mówi o niej używając tylko imienia, lub też samego przezwiska. Przemysłowy system światowego showbusinessu udoskonala technikę reklamy swoich gwiazd, kształtuje i ustala rynek masowy. Reklama pomaga w unifikowaniu gustu i tworzy — jakże często — między „towarem" a konsumentem stosunek kumplowski: na ty. Przypomnijmy sobie te wszystkie tytuły jakimi obdarzani byli, lub są, idole pop-music: Król, Książę, Wielka Czwórka (Beatlesi), albo też stwarzanie pozornego pokrewieństwa, trącącego sztuczną poufałością, w zawołaniach per „Pa" (Papa-Alexis Korner ojciec współczesnego bluesa), czy też „Ma" (Mama Rainey).

Zwróćmy również uwagę na tytuł albumów płytowych. „Wielka księżna muzyki duszy" (Nina Simone), „Złota Aretha" (Aretha Franklin), bądź też reklamowanie nagrań lat 1967—70 zespołów Santana, Blood Sweet and Tears, Spirit, Steamhammer czy też Iron Butterfly, jako „najnowszego brzmienia lat... osiemdziesiątych". Fanatycy Elvisa Presleya nazywają go „Super-magiczną gwiazdą nr 1", bądź też „Niezaprzeczalnym królem rozrywki i muzyki".

Dotyczy to również muzyki jazzowej, której czołowe gwiazdy od lat mają przydomki: Ellington (Duke-książę), Basie (Count-hrabia), Hines (Earl-lord), Oliver (King-Król), Bessie Smith (The Empress of the Blues — cesarzowa bluesa). Jedynie Ella Fitzgerald (First Lady of Jazz — Pierwsza dama jazzu) i Lester Young (Pres-prezydent) odbiegają trochę demokratyczną nomenklaturą od tego całego królewsko-książęcego towarzystwa.

Przemysł muzyczny zarówno w technice reklamy, jak i w metodach lansowania „nowych twarzy" rozrywki nawiązuje do sprawdzonych sposobów działania dotychczasowych praktyk pozamuzycznych wykorzystując je dla własnych propagandowych celów. Zdarza się oczywiście, że uniwersalność współczesnej muzyki rozrywkowej połączona z silnymi elementami reklamowymi — to środki przemycające często miernoty wokalne i tzw. gwiazdy jednego sezonu. Zabrzmi to może cynicznie, ale gust masowy podlega wprawdzie pewnym zróżnicowaniom, lecz stosując udoskonaloną technikę wszystkich instrumentów informacji w prasie, radio i relewizji, reklamy w formie plakatu, propagandy folderowej i odpowiedniej oprawy widowiskowej, można wylansować prawie każdego wykonawcę. Sukces wokalisty polega głównie na adaptacji jego propozycji przez publiczność, a źródłem sukcesu jest utrafienie w upodobania odbiorców. Oczywiście nie można statystycznie wyliczyć szans na popularność. Do tego potrzebne są 2T + ER. (Talent wykonawcy, Talent specjalisty od reklamy, plus Element Ryzyka). Ernest Van den Haag zastanawiając się w swej „Kulturze popularnej" nad typem, genezą i skutkami amerykańskiej kultury pop pisze; „Indywidualista musi wybierać między izolacją, a znoszeniem represji — nie może, jak kiedyś, żyć w swoim prywatnym świecie. Nie może liczyć na to, że znajdzie jakąś restaurację, która zadowoli jego upodobania — właściciel jej szybko się przekona, że zyskowniej jest dogadzać upodobaniom, które podziela olbrzymia większość. Prawdopodobnie zacznie ją reklamować jako lokal, który upodobali sobie indywidualiści — i restauracja wnet się przemieni w zatłoczoną jadłodajnię obleganą przez tłumy".

Zabrzmi to może absurdalnie, ale czy jest możliwe wylansowanie jakiejś przyszłej Demarczyk awizując jej propozycje jako elitarne, przeznaczone dla znawców z hermetycznie zamkniętego kręgu; dla ludzi o pewnym wyrafinowaniu intelektualnym? Jeśli prawdą jest, że każdy z nas nosi w sobie odrobinę snobizmu, to apel ten trafi na podatny grunt pod warunkiem, że „ogłoszony" zostanie za pośrednictwem odpowiednich instrumentów informacji.

I stąd też chyba biorą się owe cytowane wyżej przydomki, napuszone niekiedy tytuły i zawołania trafiając do odbiorcy mimo swych psychologicznych uproszczeń. Jak już pisałem przemysł rozrywkowy miał dwa cele na oku. Jeden zmierzał do ustanowienia między wykonawcą o publicznością stosunku kumplowskiego: na ty, drugi natomiast miał stwarzać wrażenie, że operuje się najwyższym poziomem artystycznym, „towarem" najznakomitszym. Zagadnieniami piosenki estradowej i showbusinessu interesuję się od lat i z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić, że o ile w muzyce jazzowej te trochę chełpliwe przydomki odpowiadają rzeczywistemu poziomowi artystycznemu, to w pop-music przydomek jest dość często na wyrost. Jest to błyskotliwe opakowanie nie zawsze najlepszego towaru. Jednakże z reakcji melomanów widać, że te interesujące tricki reklamowe padają zazwyczaj na urodzajną glebę. Resztę — jak zresztą w każdej dziedzinie sztuki — weryfikować będzie czas. Dziś kiedy słucham nagrań z końca lat pięćdziesiątych „The greatest twist hits" w wykonaniu „najpopularniejszego śpiewaka stulecia" (cytat z okładki long-playa) Chubby Chuckera... ogarnia mnie senność.

Rys. S. Ibis-Gratkowski

PIĘĆ MINUT Z KARIN STANEK

— Karin kiedy ostatni raz występowałaś w kraju?

— Opole — 74.

— A potem?

— Berlin, Lipsk, Drezno, Wiedeń... i tak przez prawie całe dwa lata.

— Dlaczego nie śpiewasz na polskich estradach?

— Jesteś dziennikarzem i chyba wiesz dlaczego. Przede wszystkim pragnę popularyzować polską piosenkę w świecie, a poza tym lubię występować tam gdzie jestem życzliwie i sympatycznie przyjmowana.

— A gdybyś otrzymała propozycję koncertów.

— Każdą propozycję zawsze rozważam. Lubię przecież występować przed publicznością żywo reagującą na mój artystyczny temperament.

— Wiem, że jesteś związana z Łodzią.

— Urodziłam się wprawdzie na Śląsku, ale Łódź stała się właściwie moim miastem.

— Wystąpisz więc jeszcze ze swoim recitalem w naszym mieście.

— Zależy to nie tylko ode mnie...

— Oczywiście jest w Łodzi bardzo prężna i pełna inicjatyw Dyrekcja Estrady.

— Kto dla Ciebie pisze teksty.

— Łódzkie pióra.

— Plany na najbliższą przyszłość.

— Wystąpię w lutym w polskiej TV, a później znów Berlin, Lipsk itd.

— Życzę Ci dalszych sukcesów.

Rozmawiał: B. S.

LISTY

Dwuznaczność i MODELKI

Z powodu urlopu z dość dużym opóźnieniem dotarł do mnie świąteczny numer „Odgłosów", w którym Jerzy Wilmański zaatakował mój tekst w „Karuzeli" pn. „Króliczki w fabryce". Kolega Wilmański wywęszył w tym skandal z powodów trudnych zupełnie do pojęcia, imputując mi, że obraziłem modelki. („Ale nie miał prawa obrażać kobiet wykonujących swój zawód", „Ale nie wolno mu było przyrównywać modelek „Reklamy" do sexkelnerek z zachodnich pornobarów") i że jestem ignorant, bo nie wiem, co znaczy słowo „króliczek", jak poznam to się przerażę, a jak się przerażę to przeproszę, a tak, w ogóle w dodatku jestem dewotą z Kłaja, która wpada w panikę na widok kawałka cudzej piersi.

Domyślam się, że Jerzemu Wilmańskiemu bliższe są modelki niż problemy, szczególnie problemy, które mnie interesują. W tym celu wyznaczył sobie wdzięczną rolę obrońcy tych modelek. Sam z własnej praktyki wiem, że nie ma nic szlachetniejszego niż stawać w obronie ludzi ciężkiej pracy. Ale nie przesadzajmy, praca modelek diametralnie się różni od pracy górników na przodku.

Uwielbiam polemizować, ale gdy jest o czym. Mój przyjaciel, być może nie ma poważniejszych zajęć, więc wystarczy mu każdy pretekst. Otóż niech wie, że gołe babki nie są już w stanie mnie zgorszyć. Uważam zresztą, że sex w reklamie nie jest czymś niedorzecznym, a sama reklama nie musi być świątynią cnoty. Chodzi tylko o to, by nie była świątynią głupoty, której Wilmański broni z takim zaangażowaniem, jakby to była jakaś jego bardzo bliska znajoma.

Występując przeciwko niedobrej reklamie czyniłem zarzuty natury estetycznej, Wilmański odczytał je jako zarzuty natury moralnej. Ja występowałem przeciwko twórcom prospektu reklamującego bez smaku, gustu i kultury wyroby Zakładów im. A. Struga, Wilmański pojął to jako atak na ciężko pracujące modelki. Nie znam tych pań osobiście, być może w rzeczywistości są to śliczne dziewczęta, jednakże za sprawą nieudolnych fotografów ich zdjęcia wyszły wulgarnie. Mogę im tylko przekazać wyrazy współczucia, iż pozując, zapewne w dobrej wierze, zostały oszpecone, całe szczęście tylko na papierze.

Wilmański zwekslował całą dyskusję na sex, goliznę i modelki, gdy tymczasem istota sprawy tkwi w tym, aby dobre wyroby naszych przedsiębiorstw uniknęły lichej reklamy. Wyroby mamy bowiem już na poziomie światowym, a reklamę nadal na poziomie Kłaja.

Łącze serdeczne pozdrowienia
KAROL BADZIAK

* * *

Zdaję sobie sprawę, że publikując powyższy list wyrządzamy krzywdę Karolowi Badziakowi. Jest to bowiem tekst napisany poniżej publicystycznych możliwości mojego znakomitego kolegi Badziak pisze bowiem ostro, ale rzadko opuszcza go takt i kultura polemiczna. W tym wypadku wpadł w poślizg — może to skutek urlopowego rozkojarzenia.

Wypada nam więc przeprosić Czytelników za ten list.

Na karb urlopowych emocji kładę również fakt, że Karol Badziak nie zastanowił się przez chwilę formułując insynuacje i prymitywne połajanki pod moim adresem. Uważam jednak, że nawet tak bezmyślna nielojalność na granicy znieważenia nie zwalnia mnie od lojalności wobec znakomitego kolegi, który na moment zapomniał jak wygląda przyzwoita, rzetelna polemika.

Karol Badziak okazał znakomite wyczucie i zdumiewający nerw dziennikarski porównując pracę modelek z pracą górnika. Myślę, że to celne porównanie będzie docenione — o czym Badziak — jak sądzę — bardzo marzy. Karol Badziak wykazał także brak kultury i polemicznej elegancji. Przykłady powyżej — wypada mi tylko raz jeszcze przeprosić Czytelnika za ten popis złego smaku, zdenerwowania i dziennikarskiej niedyspozycji mojego znakomitego kolegi.

Bo przecież Karol Badziak jest publicystą kunsztownym i utalentowanym. Obrzucając mnie połajankami spełnił jednak postulat zawarty w moim felietonie. Dyplomatycznie wycofał się bowiem z obraźliwych epitetów pod adresem modelek — tym razem wpisując oskarżenia na moje konto. Widocznie Badziak żyć nie może bez obrażania ludzi.

JERZY WILMAŃSKI

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI

FRASZKI ZAKOPIAŃSKIE

WARUNEK

Hej, góral ci ja, góral
spod samiutkich Tater!
Gdy łyknę już pół litra,
to ze mnie bohater!

TATERNIK

Plaster na dłoni i na oku,
lecz ja inaczej na to patrzę:
on z wysokiego nie spadł stoku,
lecz z wysokiego stołka w „Watrze".

O SYPANIU

Na chodnikach — lodowisko!
Szkołę dają nam niezgorszą!
Nikt nie sypie — chociaż ślisko,
tylko cepry sypią — forsą.

„ORBIS", GODZINA 24

Pan badylarz (but SAN MARCO)
pije MARTEL z badylarką
i świadomy swoich gustów
znowu krytykuje ustrój.

ŚPIĄCY RYCERZE

Śpiących rycerzy brak już pod Giewontem,
lecz nowa legenda o nich nam urasta:
śpiący rycerze już nie drzemią kątem —
przenieśli się ponoć do Urzędu Miasta.

APEL

Ratujmy Zakopane! —
Ogłosił Mistrz swój apel
i w „Tatry" wsiadł nazajutrz,
by dostać się do Tater.

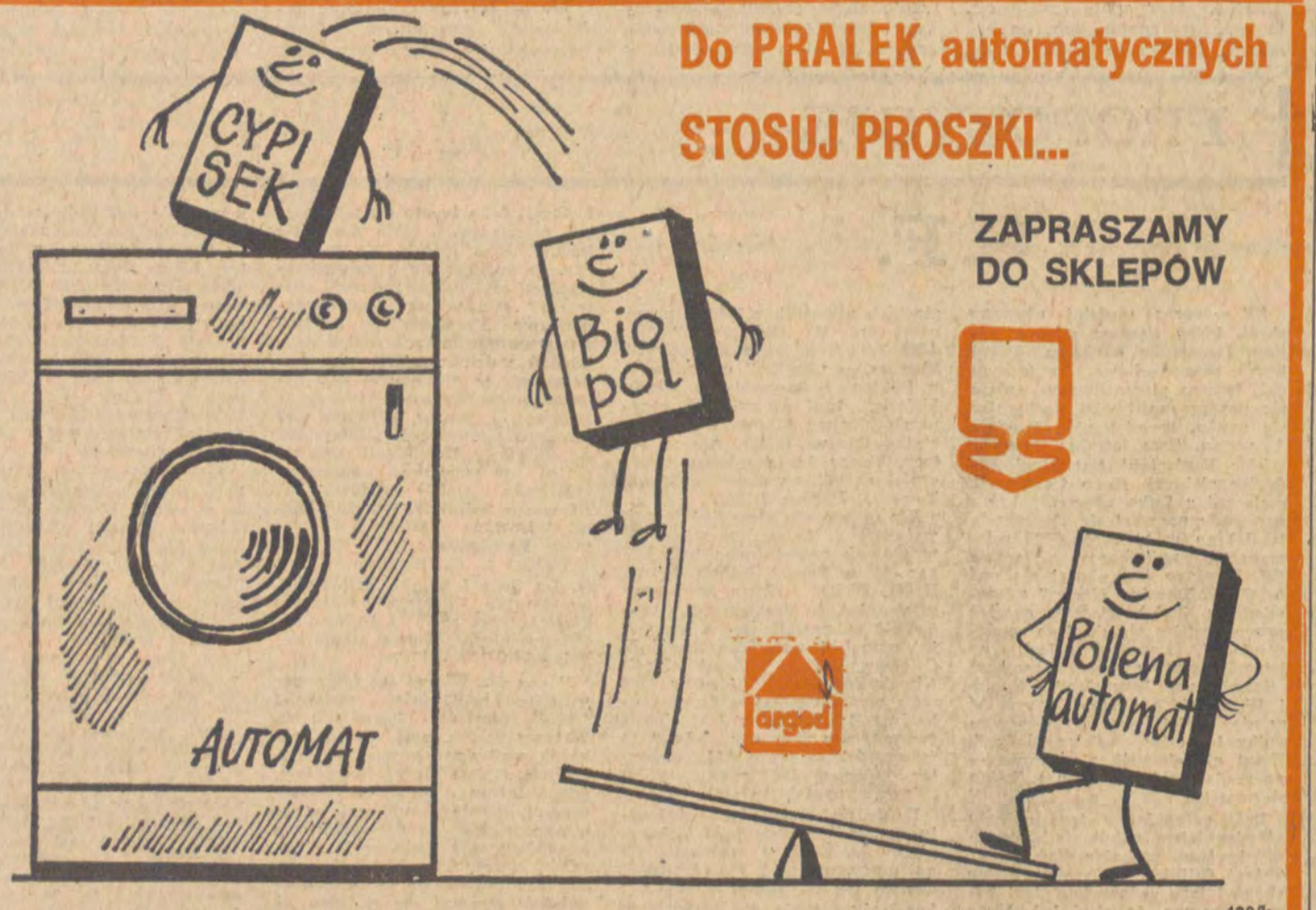

Do PRALEK automatycznych
STOSUJ PROSZKI...

ZAPRASZAMY DO SKLEPÓW

429/k

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina..."
K. I. G.

CO ŻYJE W KINIE?

Olbrzymie zainteresowanie w kołach bileterów wywołała praca doktorska młodego filmobiologa o owadach, żyjących we wnętrzach sal kinowych. Do najpopularniejszych należy paraluszek, który żywi się chichotem widzów, wydawanym gdy na ekranie staruszek wpada w otwór kanalizacyjny. Drugie miejsce zajmuje krepdesatynka, łasa na współczesne adaptacje oraz chrząszczyk ministerski zwany „Oczkiem św. Walentego", który uwielbia dwuznaczności w dialogu i łasuje na niesłusznych zakończeniach.

ZE WSPOMNIEŃ SĘDZIWEGO REŻYSERA

Za czasów Jego młodości — wspominał Sędziwy Reżyser — młodzież, w karnawale bawiła się jakoś inaczej, weselej. Do najpopularniejszych form zabawy zaliczały się tzw. „bale maskowe", z tym, że postępowe elementy przebierały się za klasę robotniczą. Pewnego razu, pragnąc zaskoczyć zebranych, Sędziwy Reżyser przebrał się za drobną chłopkę biedniaczkę. Jakież było jego zdumienie gdy rano po przebudzeniu się stwierdził, iż spoczywa w łożu pewnego zdegenerowanego księcia krwi. Śmiechu było niemało, a zawstydzony książę pozwolił wreszcie swojemu kamerdynerowi wstąpić do Szkoły Baletowej.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 330. R-9. Nr indeksu 26762.